№ 9. Warszawa, 20 Grudnia 1907 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Z powodu kończącego się kwartału i roku uprzejmie prosimy Szan. Prenumeratorów o **jaknajprędsze** regulowanie należności. **Prosimy o wczesne nadsyłanie zamówień na rok przyszły**, zjednywanie pismu nowych prenumeratorów, jakoteż dostarczanie adresów do wysyłania numerów okazowych. Wszelkie listy pieniężne i korespondencje, dotyczące prenumeraty lub ogłoszeń, powinny być adresowane, przy wyraźnem podaniu ostatniej stacji pocztowej, do ADMINISTRACJI „SPOŁECZEŃSTWA", Żórawia 29.

TREŚĆ NUMERU.

Od Redakcji.

W r. 1908

„SPOŁECZEŃSTWO"

wychodzić będzie na dotychczasowych warunkaeh i z programem, który dotąd działalnością naszą kierował.

W dziedzinie politycznej „Społeczeństwo" bronić będzie idei wolnościowych i demokratycznych; w dziedzinie społecznej i ekonomicznej — wyrażać interesy i dążenia klasy pracującej; w zakresie literatury i nauki — stać na stanowisku niezależnego badania i krytycznej myśli.

Obok artykułów wstępnych, feljetonów, ech, oświetlających aktualne sprawy polityczne i ekonomiczne, zamieszczać będziemy prace teoretyczne i zasadnicze, oryginalne i z najnowszej literatury obcej, mające na celu pogłębianie i roz-

wijanie tego światopoglądu, który odpowiada stanowisku pisma.

W formie bezpłatnego dodatku książkowego na rok 1908 zamierzamy wydać jedno z dzieł następujących:

H. HÖFFDING, Współcześni filozofowie (Wundt, Ardigo, Fouillée, Bradley, Mach, Avenarius, Ostwald, Maxwell, Guyau, Nitzsche, W. James).

M. GUYAU, Zarys moralności niezależnej (Moralność bez obowiązku i bez sankcji).

M. GUYAU, Bezreligijność przyszłej ludzkości (L'irréligion de l'avenir).

C. SNYDER, Obraz świata według nowoczesnej wiedzy przyrodniczej na podstawie ostatnich badań.

L. BOUDIN, System teoretyczny Karola Marksa.

BÜCHER, Powstanie i rozwój gospodarstwa społecznego.

SYDNEY WEBB, Teorja i praktyka związków zawodowych.

A. LABRIOLA, Syndykalizm i socjalizm, reformy i przewrót społeczny.

MERMEIX, Syndykalizm przeciwko socjalizmowi. (Rozwój Powszechnej Konfederacji pracy, strajk generalny, akcja bezpośrednia, socjalizm parlamentarny).

Każde z dzieł tych ma w swoim zakresie poważną i wybitną wartość i przyswojenie jego byłoby istotnem zbogaceniem naszego piśmiennictwa naukowego. Wobec tego jednak, że środki nasze są ograniczone możemy w najbliższym czasie wydać tylko jedno z dzieł wymienionych. Wybór pozostawiamy czytelnikom — niechaj każdy przy zamawianiu pisma na rok następny, miejscowi przez roznosicieli, wymieni nam 1 — 2 tytuł dzieł, które uzna za najodpowiedniejsze dla wydania.

Po otrzymaniu większej liczby głosów rezultat ogłosimy w ciągu paru tygodni. Wynik głosowania tego niezależnie od chwilowego celu praktycznego mieć będzie ogólniejsze znaczenie jako wskazówka przeważających potrzeb i upodobań umysłowych.

PRZEZ PRYZMAT „WIELKIEJ POLITYKI".

Poczciwy staruszek Bjoernstjerne-Bjoernson, pisarz wielkiej miary i człowiek o wysokim polocie umysłu i serca, otoczony uznaniem i czcią nietylko w ojczystej Norwegji, lecz i na dalekiej obczyźnie, wszędzie gdzie tylko dochodzą do mózgów i serc ludzkich cudowne dźwięki eolskich harf wielkich duchów, zapragnął wyzyskać dla dobra ludzkości ten kult, jakim go świat otacza i na schyłku życia zajął się sympatycznym sportem składania na szalę głosu swego w tych wypadkach, gdzie chodzi o ucisk silnego nad słabym, o przemoc siły brutalnej nad ideą dobra powszechnego — wieczną ideą wolności i pracy. Nie uwłacza to jego wielkiemu imieniu; tego rodzaju „manja", jak nazywają występy Bjoernsona ci, którym głosy tego rodzaju nie w smak idą, to przecenianie sił własnych i wpływu swego, jak jabym powiedział w tych wypadkach, gdy gromki występ męża, wyrastającego wysoko ponad tłum, łączy się ściśle z gorącą wiarą w kojące i dobroczynne oddziaływanie namiętnego apostolstwa, w jego zdolność wpływania na zmianę biegu rzeczy, zależnych w istocie od przyczyn wielorakich, skomplikowanych a głębokich, przytrafia się dość często ludziom, którzy talentem swym twórczym stanęli u szczytów, tam gdzie się zaczyna rząd dusz. Bjoernson poszedł pod tym względem śladami utorowanemi już przez wielu innych mistrzów

L. ANDREJEW.

JUDASZ ISKARJOTA I INNI.

(Ciąg dalszy.)

— Ciesz się Rabbi! — powiedział głośno, wkładając dziwny i groźny sens w słowa zwykłego powitania.

Ale Jezus milczał i z przerażeniem patrzyli na zdrajcę uczniowie, nie rozumiejąc, jak może tyle zła pomieścić w sobie dusza ludzka. Bystrem spojrzeniem obrzucił Iskarjota ich zmieszane szeregi, zauważył trwogę, gotową przejść w głośny dreszcz strachu, zauważył bladość, bezsensowne uśmiechy, powolne ruchy rąk, jakgdyby ściągnięte w przedramieniu żelazem — i wybuchła w sercu jego śmiertelna żałość, podobna tej, którą niedawno odczuwał Chrystus. Wyciągnąwszy się w setkę dźwięczących, łkających strun, szybko pomknął do Jezusa i czule pocałował Jego chłodny policzek. Tak cicho, tak czule, z taką męczącą miłością i żalem, że gdyby Jezus był kwiatkiem na cieniutkiej łodyżce, nie pochyliłby się nawet od tego pocałunku i nie strząsnąłby on nawet djamentowej rosy z czystych listeczków.

— Judaszu! — powiedział Jezus i błyskawicą swego spojrzenia oświetlił tę potworną masę zgromadzonych cieni, jaką była dusza Iskarjoty, ale w jej bezdenną głębię nie mógł przeniknąć. — Judaszu! czy pocałunkiem zaprzedajesz syna człowieczego?

I widział jak drgnął i w ruch wstąpił cały ten potworny chaos. Niemy i surowy, jak śmierć w swej hardej wielkości, stał Judasz z Karjoty, a w wnętrzu jego wszystko jęczało, grzmiało i wyło tysiącem wolnych ogniowych głosow.

— Tak! Pocałunkiem miłości zaprzedajemy Ciebie! Pocałunkiem miłości zaprzedajemy Ciebie na hańbę, na mękę, na śmierć! Głosem miłości zwołujemy katów z nor ciemnych i stawiamy krzyż — i wysoko ponad ciemnieniem ziemi wznosimy na krzyżu miłością rozpiętą miłość.

Tak stał Judasz milczący i zimny jak śmierć, a krzykowi duszy jego odpowiadały krzyki i hałas, podjęte koło Jezusa. Z grubem niezdecydowaniem uzbrojonej siły, z niezręcznością niejasno pojmowanego celu już schwytali Go żołnierze za ręce i ciągnęli gdzieś — biorąc swoje niezdecydowanie za opór, swój strach za wyśmiewanie się z nich i urągowisko.

Jak gromadka zestraszonych jagniąt, skupili się uczniowie wcale nie stawiając oporu, zato przeszkadzając wszystkim i nawet sobie samym; i tylko niektórzy decydowali się chodzić i działać każdy z osobna — popychany za wszystkich stron, Piotr Szymon z trudem, jakby straciwszy wszystkie swoje siły, wyjął z pochwy miecz i słabo bocznem cięciem opuścił na głowę jednego ze sług, — ale żadnej szkody mu nie zrobił. I Jezus zauważywszy to kozał mu rzucić niepotrzebny miecz

sztuki lub wiedzy, że wspomnę tu tylko Tołstoja lub naszego „mistrza Henryka“, który również ogromnie lubi występować w roli polish representative mana i zasiadać w areopagu wszechświatowych sędziów sprawiedliwości, częstokroć z tak niefortunnym i smutnym wynikiem, jak w owej przykrej pamięci sprawie anglo-boerskiej.

Powiem nawet, iż Bjoernson miał więcej prawa od Sienkiewicza do zabierania głosu w sprawach okcokrajowej polityki z minimum narażania się na śmieszność i złośliwe posądzenia. Mistrz Henryk bowiem od dawna już tworzył wyłącznie dzieła sztuki i jego debiuty w sprawach polityki wszechświatowej były właściwie listami otwartemi do narodów, noszącemi na sobie wyraźne znamię manji wielkości, były jakby publicznemi wystąpami pewnego swej siły duchowej augura, zwracającego się w „świętem natchnieniu“ do wielkich czczących go rzesz, słuchających go zawsze w najwyższem skupieniu i natężonej uwadze. Co innego Bjoernson. Ten stale uprawiał publicystykę narówni z literaturą piękną i od szeregu lat zasilał systematycznie, oprócz norweskich pism perjodycznych, także francuski tygodnik „Le Courier Européen“, sympatyczny organ różnych narodowości radykałów-marzycieli, opromieniony aureolą szlachetnych dusz i ich wiarą gorącą w zwycięstwo szczytnych ideałów postępu. Redakcja tego pisma, do której grona należy i wielki pisarz krainy fjordów, postawiła sobie za zadanie budzenie opinji publicznej Zachodu we wszystkich sprawach, w których brutalny gwałt lub zamaskowana zbrodnia silnych świata tego wołają o zadosyćuczynienie i sprawiedliwość. Kwestja polska, pragnienia i walki Młodej Rosji, ruch młodo-turecki, sprawa ormjańska, macedońska, żydowska, irlandzka, boerska, murzyńska, induska etc. znajdowały zawsze szerokie, wyczerpujące i objektywne uwzględnienie na łamach tej europejskiej trybuny wolnych duchów. Na szpaltach „Courrier Européen“ Bjoernson zabierał częstokroć głos w obronie maluczkich i pokrzywdzonych. Tam też pojawił się niedawno jego głośny, wprawdzie niezbyt udatny, artykuł o ucisku narodowościowym, uprawianym przez Polaków nad Rusinami.

W tym razie można było mieć żal do Bjoernsona, że w sprawach, o których miał tak słabe pojęcie, rzucał na szalę ważkie swe słowo, nie poinformowawszy się uprzednio dokładnie i wszechstronnie, że opierał się wyłącznie na stronniczych oświadczeniach ludzi bezpośrednio w sprawie zainteresowanych, że nie zapytał się o sąd i opinję czynników niezależnych, że wskutek tego dopuścił się w artykule swym niedokładności znacznych, tępiąc samochcący ostrze swej filipiki, rozmijając się z własnem założeniem, nawet poniekąd wbrew swym sympatjom szkodząc moralnie samym Rusinom. Lecz sprawiedliwość nakazuje przyznać, że zasadnicza myśl jego była szlachetną, teza sprawiedliwszą i bliższą prawdy, niż następne repliki Sienkiewicza i Paderewskiego. W każdym bądź razie obowiązkiem Polaków nawet tych, którzy się czuli bezpośrednio dotknięci namiętnem wystąpieniem norweskiego pisarza, było, o ile nie zatracili oni średniowiecznej rycerskości i kartuazji, bronić się z godnością, spokojem i powagą i wykazać dla wielkiego twórcy skandynawskiego taki sam szacunek, jakim rodacy jego otaczają naszych przedstawicieli nauki i sztuki (Curie-Skłodowska, Sienkiewicz), należało pamiętać, iż kulturalna Skandynawja wzniosła się do takiego stopnia bezstronności, jak ofiarowanie nagrody Nobla — Sienkiewiczowi, autorowi „Potopu“.

Niestety, Polska oficjalna, ta brutalna Polska Abrahamowiczów i Dmowskich na to się nie zdobyła, zdobyć się nie mogła. Odpowiedziano pięścią w twarz, tak jak na „łyków praskich“ i polizei-präsidentów przystało. Skondensowana polska obłuda zarzucała Bjoernsonowi, że napada on na Polaków, a nie widzi rozjuszonej zwierzęcości pruskiej i całej ohydy hakatyzmu (tak jakby wogóle można było komukolwiek stawiać zarzut, że potępiając w prasie jedną zbrodnię nie potępia jednocześnie tysiąca innych), zapominając widocznie, przez ignorancję, czy też z pełną świadomością, iż Bjoernson już nieraz występował w tej sprawie ze zwykłą sobie szlachetnością i eutuzjazmem.

Wkrótce po artykule, traktującym o rusinożerczych zakusach polskiego szowinizmu, Bjoernson nie schodząc ani na krok z raz obranej drogi, skierował swój oszczep w inną stronę, jak wiadomo, przeciwko azjatyckiemu barbarzyństwu madziarów, pożerających w oczach obojętnej Europy mały ludek słowacki, broniący prawdziwie po bohatersku swego przyrodzonego prawa do życia.

---

i z słabym brzękiem spadło pod nogi żelazo, widbcznie tak pozbawione swej kolącej i zabójczej siły, że nikomu nie przyszło na myśl podnieść go. I tak przewalało się ono pod nogami, i wiele dni potem znalazły go na tem samem miejscu bawiące się dzieci i zrobiły z niego sobie zabawkę.

Żołnierze rozpychali uczniów, a ci znów zbierali się i tępo leźli pod nogi, i to trwało do czasu, póki pogardliwa wściekłość nie owładnęła żołnierzami. Oto jeden z nich, zmarszczywszy brwi, rzucił się do krzyczącego Jana; drugi ordynarnie zrzucił ze swego ramienia rękę Tomasza, coś mu tłomaczącego, i podniósł ogromny kułak aż do samych oczów jego prostych i przeztoczystych — i uciekł Jan, i Tomasz, i Jakób i wszyscy uczniowie, którzy tylko tu byli, uciekli, zostawiając Jezusa. Gubiąc płaszcze, potrącając o drzewa, natykając się na kamienie i upadając, uciekali w góry, gonieni strachem, i w ciszy nocy księżycowej dźwięcznie huczała ziemia pod odgłosem uciekających nóg. Ktoś nieznany, jakby się zdawało, kto dopiero co wstał z posłania, ponieważ przykryty był jedynie tylko prześcieradłem, podniecająco szukał w gromadzie żołnierzy i sług. Ale kiedy go chcieli zatrzymać i schwycili za prześcieradło, przeraźliwie krzyknął i rzucił się do ucieczki, jak inni, pozostawiwszy odzież swą w rękach żołnierzy. I tak uciekał rozpaczliwemi skokami zupełnie goły i dziwnie połyskiwało w księżycu jego nagie ciało.

Kiedy Jezusa uprowadzili, wyszedł z za drzew ukryty Piotr i z oddali szedł za nauczycielem. I zobaczywszy idącego przed sobą milczącego człowieka, pomyślał, że to Jan i cicho zawołał go:

— Janie, czy to ty?

— A to ty, Piotrze? — odpowiedział ten, zatrzymując się, a po głosie Piotr poznał w nim zdrajcę. Dlaczego ty Piotrze, nie uciekałeś razem z innemi?

Piotr zatrzymał się i ze wstrętem wymówił:

— Odejdź odemnie, szatanie!

Judasz zaśmiał się i nie zwracając więcej uwagi na Piotra, poszedł dalej, tam, gdzie pochodnie z dymem błyskały i szczęk oręża mieszał się z wyraźnym odgłosem kroków. Posunął się za nim i Piotr ostrożnie i tak prawie jednocześnie weszli w podwórze arcykapłana i wmieszali się w zgraję sług, grzejących się przy ogniu, Judasz chmurnie grzał nad ogniem swe kościste ręce i słyszał, jak gdzieś za nim głośno powiedział Piotr:

— Nie, ja nie znam Go.

Ale tam widocznie twierdzili, że on jest z uczniów Jezusa, ponieważ jeszcze głośniej Piotr powtórzył.

— Ależ nie, nie rozumiem co wy mówicie!

Nie oglądając się i uśmiechając się niechcący, Judasz kiwnął potakująco głową i zamruczał:

— Tak, tak, Piotrze! Nikomu nie ustępuj swego miejsca obok Jezusa!

I nie widział on jak wyszedł z podwórza przestraszony Piotr, żeby się już więcej nie pokazać. I od tego wieczora aż do samej śmierci Jezusa, Judasz nie wi-

Artykuł Bjoernsona o Węgrach wydał mi się pod względem formy i doboru argumentów przekonywujących — dość bladym i powierzchownym — ostrze satyry zdawało się ślizgać po powierzchni (po części winien temu prawdopodobnie wadliwy przekład). Snać stępiła się już z wiekiem stal genjalnego pióra. Ale nie o to chodzi. Stokroć potężniejsze ciosy tej kategorji nie zdołałyby ulżyć ani na jotę ciężkiej doli Słowaków. Zasadniczemu stanowisku autora żadne serce prawe, w którem tli iskra głębszego umiłowania ludzkości, nie może mieć nic do zarzucenia, o ile naturalnie ma choć słabe pojęcie o warunkach współżycia na Zakarpaciu. To też organy endeków, które na wzór nacjonalistycznej prasy innych krajów bywają miejscami wielce humanitarne, w tych zwłaszcza wypadkach gdy nie o nich chodzi, a więc ich to nic nie kosztuje, pochwaliły początkowo ostatnie pismo Bjoernsona i zsolidaryzowały się z nim w zupełności. „Społeczeństwo“ przyłapując endeków na gorącym uczynku tego wrodzonego im szafowania podwójną buchalterją pisało w № 5: „Charakterystycznem jest, że nasza narodowa demokracja zapomniała o afroncie, jaki jej wyrządził znakomity pisarz norweski Bjoernson-Bjoernstjerne, ująwszy się za krzywdy Rusinów, i pełna jest uznania dla niego, gdy wrażliwy na niedolę uciskanych narodów, napisał znów list pełen zjadliwego sarkazmu, w którym biczuje patrjotyczną politykę i „patrjotyczną mowę“ madżiarów. Ale nikt nie widzi belki w swojem oku i nie lubi gdy mu ją pokazują“... Nie zdążyła jednak jeszcze obeschnąć farba drukarska tych słów na łamach „Społeczeństwa“, gdy w № 113 „Gazety Codziennej“ umieszczono już artykuł wręcz sprzeczny z tem wszystkiem, co dotąd pisała nasza prasa reakcyjna o ostatniej enuncjacji Bjoernsona. Konsekwencji naturalnie trudno wymagąć od pisma, które jak hjena trupami, tak ono żyje fałszem, obłudą i demagogją.

Ostatnie jednak wystąpienie endeckiej urzędówki tak jest charakterystycznem, że doprawdy warto jest przyjrzeć się zblizka temu potworkowi i poświęcić mu nieco uwagi.

W języku słowackim wychodzi 8 czasopism polityczno-społecznych; z nich dwa są wyrazicielami kierunku narodowego, dwa inne — to tygodniki dla ludu, jedno jest pismem religijno-klerykalnem, jedno, wydawane w Budapeszcie, przedstawia interesy proletarjatu słowackiego, i wreszcie dwa „Slovenske Noviny“ i „Opravdovy Krest'an“ są organami madziaryzatorskiemi, założonemi w celu równoważenia wpływów czasopism narodowych.

Geneza powstania słowackiej prasy gadzinowej jest następnjącą: 5 lutego 1875 r. za ministerjum sławetnego Kolomana Tiszy postanowił rząd węgierski rozwiązać „Macierz“ słowacką. Bez jakiegokolwiek badania i śledztwa zagarnięto zbiory „Macierzy“ w sumie blisko 100,000 przelano do kasy państwowej, do budynku „Macierzy“ przeniesiono sąd powiatowy, to dzikie narzędzie bezprawia madziarskiego, skazujące Słowaków na ciężkie kary za najmniejszy przejaw żywotności narodowej. Cały majątek „Macierzy“ ofiaowano „Węgiersko-słowackiemu związkowi kulturalnemu“ (Uhorsko-krajiński vzdelavaci spolok slovensky'), od początkowych liter nazwy madziarskiej zwanemu w skróceniu Emka (M.K.), na wzór pruskiego H.K.T., związkowi, którego celem jest rozszerzanie języka madziarskiego i madziarskiej kultury pomiędzy ciemiężonemi mniejszościami narodowemi na Węgrzech. Związek ten ze skradzionych wdowich groszy słowackich wydaje „Slovenske Noviny“ i pismo gospodarskie „Vlast'a Sviet“ dla bałamucenia ludu słowackiego i obrzydzania mu mowy ojczystej. Służba państwowa, kolejowa i leśna rozmaitych stopni pochodzenia słowackiego obowiązaną jest prenumerować te pisma; częstokroć zdarza się, iż oddzielne zarządy same abonują je i, rozsyłając następnie swoim podwładnym, wytrącają im z pensji należność za prenumeratę. Pisma te, przepełnione kalumnjami i denuncjacjami na Słowaków, plwają na przeszłość i teraźniejszość narodu, na jego język i kulturę. Z odpływów tego rodzaju „niezaleznego“ źródła urabia „Gazeta Codzienna“ swój pogląd na sprawę słowacką, z „Slovenskich Novin“ przedrukowuje odpowiedź mistyfikatorów „słowackich“ na pismo Bjoernsona, pojęciami zawartemi w tem judaszowo-gadzinowym piśmidle operuje, jako aktem wiary narodu słowackiego, insymując, że odpowiedź ta jest zasadniczą oceną artykułu pisarza norweskiego z punktu widzenia wszystkich uczciwych, zrównouważonych i jedynie narodowych Słowaków. Trudno doprawdy znaleźć w słowniku wyraz odpowie-

---

dział w bliskości Jego ani jednego z uczniów i wśród całego tego tłumu było tylko ich dwuch, nierozdzielnych do samej śmierci, dziko związanych spójnią cierpienia— Ten, Którego zaprzedali na hańbę i męki, i ten, który Go zaprzedał. Z jednego kubka cierpienia pili oni jak bracia, Zdrajca i Zdradzony i ogniowa potęga jednakowo paliła czyste i nieczyste usta.

Uporczywie patrząc w ogień stosu, napełniającego oczy wrażeniem gorąca, wyciągając ku ogniu długie, w ciągłym ruchu będące ręce, cały bezkształtny w plątaninie rąk i nóg, drżących cieni i światła, Iskarjota mruczał żałośnie i ochryple:

— Jak zimno! Boże mój, jak zimno!

Tak jest, pewnie, kiedy rybacy wyjeżdżają w nocy, zostawiając na brzegu tlejący się stos — z ciemnej głębi morza wyłazi coś, podpełza do ognia, patrzy na niego uporczywie i dziko, ciągnie się ku niemu wszystkiemi członkami swojemi i mruczy żałośnie i ochryple:

— Jak zimno! Boże mój, jak zimno!

Nagle za plecami swojemi Judasz usłyszał wybuch gromkich głosów, krzyki i śmiech żołdaków, wypełnione znaną, sennie-chciwą złością i brzmiące krótkie i częste uderzenia po żywem ciele. Przeniknięty nagłym bólem całego ciała, wszystkich kości obejrzał się —to bili Jezusa.

Oto co jest!

Widział jak żołnierze uprowadzili Jezusa do siebie na odwach. Noc przechodziła, ogniska gasły i pokrywały się popiołem, a z izby warty ciągle jeszcze szły głuche krzyki, śmiech i naigrawania. To bili Jezusa. Jak szalony biegał Iskarjota niespokojnie po opustoszałem podwórzu, zatrzymywał się w pędzie, podnosił głowę i znów biegał, ze zdumieniem wpadając na ogniska, na ścianę. Potem przylepiał się do ściany warty, i wyciągając się, wpijał się w okna, szczeliny drzwi i chciwie wpatrywał się, co się tam dzieje. Widział ciasny, duszny pokój, brudny jak wszystkie odwachy na świecie, o zaplutej podłodze i takich zatłuszczonych, zaplamionych ścianach, jakby po nich chodzili, albo przewracali się. I wikział człowieka, którego bito.

Bili Go po twarzy, po głowie, przerzucali Go jak miękki tłomok, z jednego końca na drugi; i ponieważ On nie krzyczał i nie sprzeciwiał się, to chwilami po badawczem przyjrzeniu się rzeczywiście zaczynało się zdawać, że to nie jest człowiek żyjący, ale jakaś miękka lalka bez kości i bez krwi. I wyginała się ona dziwnie, jak lalka, i kiedy przy upadku uderzała głową o kamienie podłogi, to nie robiła wrażenia uderzania twardego o twarde, a czegoś także miękiego, bezbolesnego. I przy długiem wpatrywaniu się zdawało się to podobnem do jakiejś dziwnej, niekończącej się zabawy — czasami do zupełnego nawet złudzenia. Po jednem silnem pchnięciu człowiek czy lalka opuszczał się kołysanym ruchem na kolana siedzącego żołnierza, ten odpychał ją dalej, i ona obróciwszy się siadała innemu, i tak dalej i dalej. Wybuchnął głośny śmiech i uśmiechnął się też i Judasz — jakby czyjaś silna ręka żelaznemi

dzi dla należytego napiętnowania całej ohydy tego czynu, niepodobna bowiem przypuścić ażeby sprawy Słowian na Węgrzech nie były znane nieomylnemu i wszechwiedzącemu organowi naszego Wielkiego Dalaj-Lamy wszak tyle papieru było już zapisane na ten temat — książek, traktatów, artykułów, nawet powieści oryginalnych. Jakżeby się zatrząsł w szlachetnem oburzeniu urzędowy organ naszych endeków, gdyby tak które „poważne" pismo angielskie lub francuskie umieściło w przekładzie jaki artykuł z b. p. „Oświaty" i starało się wmówić w swych czytelników, iż jest to głos narodu polskiego Zresztą poniekąd uprawiały już ten system sprzedajne organy paryskie (w rodzeju l'Echo de Paris, Matın lub nacjonalistycznych la Presse i la Patrie) nazajutrz po wpłynięciu na ich conto w Credit Lyonnais świeżej raty z ul. Grenelle.

Ażeby dać pojęcie o cynizmie naszej urzędówki przytaczamy tu niektóre wstępy, które mogłyby zdobić karty pism takich jak „Posener Nachrichten" lub „Moskowskija Wiedomosti", lecz które budzą wstręt w gazecie drukowanej polskiemi czcionkami.

„Ktoś czytający pisma czeskie i niemieckie, musi sobie wyobrazić, że na Węgrzech każdy Słowak lub Rumun, to wróg Madziarów. Tak nie jest (!). Mnóstwo Słowaków umiarkowańszych uważa się za Węgrów, mówiących po słowacku (!? Ciekawą jest rzeczą za kogo uważają się redaktorzy G. C., boć przecież umiarkowania swego nie zaprzeczają, szczycą się niem nawet), to znaczy iż uznają węgierską ideę *jednolitości* państwowej, zastrzegając sobie jedynie prawo języka macierzystego w szkołach, kościołach, w sądzie i urzędach autonomicznych. To mają i są zadowoleni (!? zaiste ciekawe odkrycia)"...„Słowacy, nieogarnięci agitacją zzewnątrz (dotąd zawodowi kalumnjatorzy głosili nam jedynie, iż socjalizm jost ruchem wywołanym przez konkurencyjne srebrniki pruskie, dziś dowiadujemy się, że i ruchy narodowe z tego samego źródła początek swój biorą. Po odkryciu i ustaleniu tego nowego prawa natury, iż wszelka działalność polityczna i społeczna jest ściśle z rublem prowokacyjnym związaną, czujemy w sobie pewną ulgę) postanowili zaprotestować przeciko temu nałogowemu mieszaniu się norweskiego barda w cudze sprawy"... no i w rezultacie tego gremjalnego postanowienia... „Slovenske Noviny dają mu ciętą odprawę"...

Podając w dalszym ciągu przedruk repliki organu węgierskiej ochrany „Gaz. Codz." umieszcza bez komentarzy takie dowodzenia madziarskiego gadzinowca jak to, że Słowacy nie byli i nie są madziaryzowani, w przeciwnym bowiem razie „kwestje językowe zmieniłyby (na ziemiach słowackich) w ciągu jeenego stulecia"... Dobrzeby było, gdyby „G. C." zechciała łaskawie udzielić, jeżeli nie nam, to swoim czytelnikom wyjaśnień, czy uważa ona nas, Polaków, zgodnie z tezą, z jaką się widocznie najzupełniej solidaryzuje, za zrusyfikowanych i zniemczonych ostatecznie, czy też jedynie jest zdania odmiennego, niż jej Jowisz naczelny, i sądzi, że w ciągu ostatnich lat stu, przez cały przeciąg dzicjów porozbiorowcyh, nikt nie próbował nawet przerabiać na Johannów, Hansów i Iwanów.

Artykuł swój poważny organ naszej opinji publicznej kończy w ten sposób: „Oto są słowa pisma słowackiego niezależnego (Slov. Noviny były w ostatnich czasach kilkakrotnie konfiskowane. Przyp G. C.); potwierdzają one w zupełności opjnję „Słowa Polskiego" o wewnętrznych sprawach w państwie węgierskiem"... Co krok to nowe odkrycie. Konfiskata ma być tym papierkiem lakmusowym, który udawadnia niezbicie niezależność pisma. Według tego probierza „Nowoje Wremja", „Moskowskija Wiedomosti" „Russkoje Znamia", kijowska „Dubinka" i odeska „Rezina" są organami niezależnemi pur sang, ulegały bowiem już kilkakrotnie nie tylko konfiskacie, ale i znacznym karom pieniężnym (vide Dubrowin i głośna szopka ze sprzedażą jego karety przez licytację, lub ostatnia kara 3,000 nałożona na „Russkoje Znamia").

Czytając kłamliwe enuncjacje „Gaz. Codz." o słowakach, przypuszczaliśmy z początku, że lejb-organ naszych patrjotników został podstępnie w błąd wprowadzony przez niesumiennego współpracownika, jednakże druga połowa artykułu rozwiała nasze złudzenia. Zaznaczono tu już otwarcie, bez ogródek, że zawaty w artykule „G. C." pogląd na kwestję słowacką odpowiada zasadniczemu stanowisku w tej sprawe obudwu odłamów stronnictwa n. d., zarówno z tej, jak i z tamtej strony kordonu. Artykuł „G. C." ma „potwierdzać opinję

---

palcami rozdarła mu usta. To oszukane zostały usta Judasza.

Noc trwała i stosy tliły się jeszcze. Judasz odszedł od ściany i powoli przywlókł się do jednego ze stosów, rozkopał węgiel, poprawił go i chociaż zimna nie czuł teraz, wyciągnął lekko drżące ręce nad ogniem i zamruczał żałośnie:

— Ach, boli, bardzo boli, syneczku mój, synku, syneczku. Boli, bardzo boli!

Potem znów poszedł do okna, żółcącego się w przecięciu gęstej kratki mdłem światłem i znów patrzył się jak biją Jezusa.

Raz przed samemi oczami Judasza mignęła w gąszczu splątanych włosów smagła teraz zeszpecona twarz. Oto czyjaś ręka wpiła się w te włosy, przewróciła człowieka i równomiernie obracając głową z jednej strony na drugą, zaczęła twarzą Jego wycierać zaplutą podłogę. Pod samem oknem, otworzywszy usta, spał żołnierz z białemi błyszczącemi zębami; oto czyjeś szerokie plecy z tłustą, gołą szyją zagrodziły okno i nic już więcej nie widać. I nagle stało się cicho.

Co to? Dlaczego oni milczą? Czy oni się nagle domyślili?

Momentalnie cała głowa Judasza, we wszystkich jej częściach, napełniła się hałasem, krzykiem, rykiem tysiąca rozszalałych mysli. Domyślili się oni. Zrozumieli, że to jest — najlepszy człowiek — to takie proste, to takie jasne? Co tam teraz jest? Klęczą przed Nim i płaczą cicho, całując Jego nogi. Oto wychodzi On już tu, a za nim pokornie pełzną oni — wychodzi tu, do Judasza, wychodzi zwycięzcą, mężem, władcą prawdy, bogiem.

— Kto oszukuje Judasza? Kto ma rację?

Ale nie. Znowu krzyk i hałas. Znowu biją. Nie zrozumieli, nie domyślili się i biją jeszcze mocniej, jeszcze boleśniej. A stosy dopalają się, pokrywając się popiołem, i dym nad niemi też tak przezroczyście błękitny, jak i powietrze, i niebo też tak jasne, jak i księżyc. To nastaje dzień.

— Co to jest dzień? — pyta Judasz.

Oto wszystko zapaliło się, błysnęło, odmłodniało, i dym na górze nie jest już błękitny, a różowy. To wschodzi słońce.

— Co to jest słońce? — pyta Judasz.

VIII.

Judasza pokazywano palcami, i niektórzy pogardliwie, inni z nienawiścią i strachem mówili:

— Patrzcie: oto Judasz Sprzedawczyk!

To już rozpoczynała się haniebna sława jego, którą obciążył siebie na wieki. Przejdą tysiące lat, narody zmienią narody, a w powietrzu ciągle jeszcze drgać będą słowa, wymawiane przez złych i przez dobrych z pogardą i strachem:

— Judasz Sprzedawczyk... Judasz Sprzedawczyk!..

Słowa Polskiego o wewnętrzych sprawach w państwie austryjackiem".

Wyższa mądrość polityczna nakazała świeżo upieczonym wszechpolskim „mężom stanu" złożyć w ofierze całopalenia wszelkie względy sprawiedliwości i wszelkie sympatje serca dla jakiegoś tam drobnego ludku minorum gentium i interesy jego podporządkować wielkim zadaniom polskiej racji stanu. W interesach tej wielkiej polityki, dla zwykłego śmiertelnika niedostępnej i niezrozumiałej, bolesne chwile najwyższego natężenia ucisku narodowościowego Słowaków wyzyskuje się jako pomyślną okazję z jednej strony do nawiązania nici przyjaźni z Węgrami, z drugiej, do napaści raz jeszcze, bez żadnego powodu — na Czechów. Powątpiewać należy, ażeby sami endecy w czechizację Słowacczyzny wierzyli na serjo, brak bowiem ku temu odpowiednich warunków. W djalekcie słowackim, używanym w komitatach nitrzańskim i trenczyńskim, pogranicznych z Morawami, uwydatnia się coprawda wpływ języka czeskiego, ale taki sam wpływ wywarł język polski na ukształtowanie się drugiego djalektu słowackiego, używanego w pogranicznych ze Szląskiem i Galicją komitatach orawskim, liptowskim, spiskim i szaryckim. Ale panowie Głąbińscy i Dmowscy lubią grać rolę europejskich dyplomatów, być „za pan brat" z Kodamą i hr. Wittem. Pisze się więc „wysokim sztilem" „Nowego Wremieni". „Pozwalamy sobie powątpiewać, ażeby rozsądni Słowacy nie chcieli w szkołach uczyć się państwowej mowy... Czesi sami się uczą skrzętnie po niemiecku, natomiast boją się o Słowaków, kształcących się po madziarsku". Zmadziaryzowanie szkoły zarówno średniej, jak i ludowej, usunięcie z tej szkoły nawet nadobowiązkowych godzin języka ojczystego, zamknięcie nietylko muzeów i bibljotek, ale nawet towarzystw śpiewaczych, dławienie wszelkich przejawów życia kulturalnego, madziaryzowanie za pomocą kościoła, szkoły i ochrony, prześladowanie prasy słowackiej, upośledzenie narodowe Słowaków w przedstawicielstwie państwowem*), morderstwa, rozboje i oszustwa wyborcze, mogące rywalizować jedynie z galicyjskiemi, wtrącanie do więzienia jedynie za słowa: „Jestem Słowakiem", zakazywanie czytania słowackich książek, słowem stosunki przypominające Królestwo z czasów Hurki i Apuchtina — „G. C." nazywa delikatnie „kształceniem Słowaków w języku węgierskim". I jakże tu się dziwić gadzinowym organom niemieckiej lub rosyjskiej prasy. Te mają przynajmniej jakiś grunt pod nogami, jakieś podstawy realne do sympatyzowania zachłannej polityce eksterminacyjnej, ale na czem są oparci nasi panowie z endecji, jeżeli pozbywają się samochcąc jedynej siły jaka pozostaje dla nas — siły moralnej; przypomina to znaną bajkę o żabie...

Politykom naszym chodzi widocznie, jak to już wspominałem, o przeprowadzenie subtelnego planu zjednania sobie Węgrów, a co służy za środek wiodący do tego celu, o to mniejsza — w polityce nieprzebiera się. Patrzcie, oto już niektóre organy węgierskie zauważyły w środkach, sentymenty muszą ustąpić na dalszy plan. zezowanie endecji w ich stronę i czuły się zobowiązane tem do zaznaczenia, że Polacy jedni mają tyle galanterji i dobrego tonu, iż do cudzych garnków nie zaglądają, czyli innemi słowy nie mieszają się do wewnętrznych spraw swych sąsiadów. Że mocno sporna zasada nie zaglądania do cudzych garnków nie leży w naszych interesach, nad tem się długo nie zastanawiają nasi rzecznicy egoizmu narodowego, nieudolni plagjatorzy zasad szkoły bismarkowskiej. „Dyplomacja polska" jest innego zdania. Oczywiście nie ta dyplomacja zdrowego rozsądku narodowego i szerzej pojętego ludowego interesu, lecz ta inna, dostępna jedynie ultra-narodowym intellektom naszych „mężów zaufania", dyplomacja, uosabiająca chwilowe klasowe interesy zgonników galicyjskich, miejscowych ordynatów i lodzermenschów, litewsko-ukraińskich plantatorów i handlarzy bydła.

Egoiści narodowi, nie chcąc się w żaden sposób

*) Dążenie do reformy obecnego prawa wyborczego na Węgrzech, dającego zaledwie 7% mieszkańców prawa polityczne i to jeszcze w dodatku uszczuplone w komitatach nie rdzennie madziarskich, na rzecz powszechnego głosowania. »G. C.« (nr. 72) nazywa wstępowaniem »na pełną niebezpieczeństw drogę«. Jest to charakterystycznem jako dla organu stronnictwa »demokratycznego«, mającego na pokaz w swym programie tę właśnie »niebezpieczną drogę«, jako punkt zasadniczy.

Ale on słuchał obojętnie tego, co mówiono o nim, pochłonięty uczuciem wszystko zwyciężającej palącej ciekawości. Z samego rana, kiedy wyprowadzali z odwachu zbiczowanego Jezusa, Judasz szedł za Nim i jakoś dziwnie nie odczuwał ani żalu, ani bólu, ani radości — jedno tylko nieprzezwyciężone uczucie widzenia wszystkiego i słyszenia wszystkiego. Choć nie spał całą noc, czuł lekkiem ciało swoje; jeżeli nie przepuszczali go naprzód i ściskali go, on rozpychał tłum i chytrze wyłaził na pierwsze miejsce; i ani jednej chwili nie pozostawało w spokoju jego żywe, przenikliwe oko. Przy badaniu Jezusa przez Kaifasza, żeby nie stracić ani jednego słowa, odchylał ręką ucho i potakująco kiwał głową, mrucząc:

— Tak! Tak! Ty słyszysz, Jezusie!

Ale nie był on swobodnym — jak nie jest nią mucha, przywiązana nitką: brzęcząc, lata ona tu i tam, ale ani za jedną minutę nie zwalnia jej uparta i posłuszna nitka.

Jakieś znamienne myśli leżały w mózgu Judasza i do nich był on bardzo przywiązany; nie wiedział, zdaje się, jakie te myśli, nie chciał ich poruszać, ale czuł je ciągle. I chwilami nadciągały one na niego, kładły się na nim, gniotły go swem niepojętem brzemieniem — jakgdyby sklepienie groty kamienistej osuwało mu się na głowę powolnie i strasznie. Wtedy chwytał się za serce, starał się być cały w ruchu, jak zmarznięty i spieszył przenieść oczy na nowe miejsce, jeszcze na nowe miejsce. Kiedy Jezusa wyprowadzili od Kaifasza, blizko zupełnie spotkał wzrok jego znużony, i jakby nie zdając sobie sprawy, kilkakrotnie przyjacielsko kiwnął mu głową.

— Jestem, synku, jestem! — zamruczał on spiesznie, i uderzył ze złością w plecy jakiegoś żołnierza, stojącego na drodze. Teraz ogromną, krzykliwą zgrają wszyscy ruszyli do Piłata, na ostatnie badanie i sąd, i z tą samą nieznośną ciekawością rozpatrywał Judasz chciwie i prędko twarze przybywającego tłumu. Wielu byli zupełnie nieznani, nigdy ich Judasz nie widział, ale spotykał i tych, którzy wołali Jezusowi „Hosanna" i z każdym krokiem liczba ich wzrastała.

— Tak, tak! prędko pomyślał Judasz i w głowie mu się zakotłowało, jak pijanemu. — Wszystko skończone. Oto zaraz zawołają oni: to nasz, to Jezus, co wy robicie? i wszyscy zrozumieją i...

Ale wierzący szli milcząc. Jedni udawali uśmiech, nadając sobie pozór obojętnych, inni coś mówili szeptem, ale w szmerze ruchu, w głośnych i groźnych krzykach wrogów Jezusa, tonęły bez śladu ich ciche głosy. I znów lekko było. Nagle Judasz zobaczył niedaleko ostrożnie przemykającego się Tomasza i, pomyślawszy coś szybko, chciał do niego podejść. Zobaczywszy Sprzedawczyka, Tomasz przeląkł się i chciał się ukryć, ale w wązkiej, brudnej uliczce między dwiema ścianami, Judasz dogonił go.

— Tomaszu! Poczekaj-że!

Tomasz zatrzymał się i, wyciągając naprzód obie ręce, uroczyście wyrzekł:

wyrzec pożerania żywcem Litwinów i Rusinów, polityki swej nie opierając na wielkich ideałach bezwzględnej wolności wszelakich skupin narodowościowych, przeoczając w zupełności, że w tym właśnie kierunku podąża świat, i że tylko na tym gruncie da się utrzymać swobodny rozwój polskiej kultury, wierzą po dawnemu w traktaty wiedeńskie i we wszelkie zawiłe ścieżki gabinetowej dyplomacji, plączącej się w całej sieci obłudnych udawań i ukrytych oszustw, na których dziś każdy się poznaje. Przehistoryzowani nasi dyplomaci, naczytawszy się nieudolnie Askenazych i innych mistrzowskich rozwiązywaczy kunsztownie poplątanych nici starej sztuki dyplomatycznej, bawią się obecnie we wskrzeszanie zawiłych Talleyrandowsko - Metternichowskich machinacji, zapominając całkiem, że system ten zbankrutował oddawna, że dziś należy grać już więcej w karty otwarte, wystawiając jawnie na rynku politycznym pewne określone realne siły i wartości. Ponieważ jednak narodowo-demokratycznych mężów zaufania na kongresy i do ambasad jeszcze nie wpuszczają, wielka więc polityka naszych „ministerjalnych głów" toczy się jak dotąd wyłącznie w rodzinnych kałużach reakcyjnej prasy, mącąc do reszty i tak chaotyczne już umysły biednych polskich czytelników. Stąd zanik wszelkich uczuć moralnych w tej prasie i wszelkiej miary etycznej; stąd sofizmatami, białemi nićmi szytemi, upstrzone okłaski dla madziaryzacji Słowaków, stąd ubielanie ucisku narodowego w Irlandji, stąd Sienkiewicza pochwały dla obozów koncentracyjnych w Transwaalu, stąd obojętność dla pogromów żydowskich i rzezi ormjańskich, stąd jakieś niepojęte na pierwszy rzut oka sympatje dla wszelakich zbrodni i gwałtów, uprawianych przez silnych świata tego, stąd menuety i rewerense w kierunku tych, na kogo „liczyć można"...

Z jednej strony udajemy siłę na szachownicy świata, pozostając nadal pawiem narodów i papugą, zezujemy okiem bielmem pokrytem w stronę Węgrów, Anglików i Francuzów, z drugiej zaś zachowujemy się w sposób uwłaczający godności narodowej, — więc kręcimy się z wytrwałością godną lepszej sprawy w przedpokojach ober-inkwizytorów, więc tchorzliwie zatrzymujemy się na połowie drogi w sprawie interwencji Austrji do spraw wewnętrznych Niemiec, w której wiedeńskie Koło Polskie gdyby się zdobyło na odwagę mogłoby wiele uczynić, więc wreszcie tak haniebnie „bronimy" interesów polskości w Prusach, gdy chcą nas wyzuć ze wszelkich praw ludzkich i wtłoczyć do kategorji europejskich murzynów.

Nasi kierownicy a zarazem trubadurzy „czynów narodowych" nie widzą tego jak bywają chwilami boleśnie komiczni, nie dostrzegają błazeńskiego kołpaka na nizkiem swem czole, ptasim mózgiem swoim zdają się nie spostrzegać, że gdyby ich zasada zwyciężyła, bylibyśmy pożarci, przeżuci i strawieni w żołądkach rekinów wszechświatowych wspólnie z temi mniejszościami narodowemi, do których obecnie odwracamy się tyłem, na których sami mamy nieraz zachłanne apetyty, względem których kierujemy się z gruntu fałszywą maksymą — „Wy zginiecie a my będziemy żyć". Jest to polityka nieświadomego samobójstwa. Na szczęście pęd rozwoju dziejowego poniesie nas w zupełnie odmiennym kierunku. Zorza wolności już świta, chociaż „my" jej jeszcze nie dostrzegamy, zauważyć i pojąć nie będziemy w stanie nigdy.

Żal mi was, wy, ubodzy duchem, nizcy lotem myśli, karłowaci czynem przyziemnym.

Wł. Dzwonkowski.

FAŁSZYWA GRA.

(Dokończenie).

Pulicystyka społecznej lewicy, doskonale wrażliwa na wahania mieszczańskiej myśli politycznej, oceniła natychmiast niepowszednią doniosłość sprawy autonomicznej i jej ścisły związek z losami stanu czwartego.

Za naczelne momenty rozważań służyły jej: gospodarcza postać rzeczników autonomji i wynikający stąd charakter projektu Koła Polskiego, ścisła łączność losów projektu z całością wydarzeń w Rosji oraz stosunek istniejącego rządu do centralizacji państwa Rosyjskiego.

Wyniki otrzymano niesporne, normujące ostatecznie stosunek polityki robotniczej do akcji autonomicznej.

— Odejdź odemnie, szatanie.

Iskarjota niecierpliwie machnął ręką.

— Jaki ty głupi jesteś, Tomaszu, myślałem, że mądrzejszym jesteś od innych. Szatanie! Szatanie! przecież tego dowieść trzeba.

Opuściwszy ręce, Tomasz ze ździwieniem zapytał:

— A czyż nie ty zdradziłeś nauczyciela? Sam widziałem, jak sprowadziłęś żołnierzy i wskazałeś im Jezusa. Jeśli to nie jest zdrada, to co to jest zdrada?

— Co innego, co innego, — pospiesznie powiedział Judasz. — Słuchaj, was tu dużo. Trzeba, żeby wszyscy zebrali się razem i głośno zażądali: oddajcie Jezusa, On naszym jest. Wam nie odmówią, nie będą śmieli. Oni sami zrozumieją...

— Co ty! Co ty! — stanowczo odsunął rękami Tomasz: — czyż ty nie widziałeś, ilu tu uzbrojonych żołnierzy i sług kościoła. I potem sądu jeszcze nie było, i my nie powinniśmy przeszkadzać sądowi. Czyż on nie zrozumie, że Jezus niewinien i czyż nie rozkaże natychmiast uwolnić Go.

— Ty też tak myślisz? — z zadumą spytał Judasz? — Tomaszu, Tomaszu, a jeżeli to prawda? To co wtedy? Kto ma rację? Kto oszukał Judasza?

— My dziś mówiliśmy całą noc i zdecydowaliśmy: nie może sąd zasądzić niewinnego. Jeżeli zaś zasądzi...

— No! — spieszył Iskarjota.

— ... to to nie sąd. I im źle będzie, jak trzeba będzie stanąć przed prawdziwym sędzią.

— Przed prawdziwym! Jest jeszcze prawdziwy! — zaśmiał się Judasz.

— I wszyscy nasi przeklęli ciebie, ale ponieważ mówisz, że ty nie jesteś zdrajcą, myślę, że ciebie należało by sądzić...

Nie dosłuchawszy, Judasz nagle zawrócił i prędko puścił się w dół uliczki, wślad za oddalającym się tłumem. Ale wkrótce zwolnił kroku i poszedł powoli, pomyślawszy, że gdy idzie wielki tłum, idzie zawsze powoli i idący samotnie zawsze go przegoni.

Kiedy Piłat wyprowadził Jezusa ze swego pałacu i postawił Go przed narodem — Judasz, przyciśnięty ciężkiemi plecami żołnierzy do kolumny, wściekle kręcący głową, żeby przyjrzeć się czemuś między dwoma błyszczącemi hełmami, nagle zrozumiał jasno, że teraz wszystko skończone. Pod słońcem, wysoko nad głowami tłumu zobaczył on Jezusa, okrwawionego, bladego, w cierniowym wieńcu, którego ciernie wpijały się w czoło; na brzegu wzniesienia stał On, widoczny cały od głowy do zagorzałych małych nóg, i tak spokojnie czekał, tak był jasny w swem nieskalaniu i czystości, że tylko ślepy, który nie widzi samego słońca, nie widział by tego, tylko warjat nie zrozumiał by. I naród milczał — było tak cicho, że Judasz słyszał, jak oddycha żołnierz stojący na przedzie i jak przy każdym oddechu skrzypi rzemień na ciele jego.

(C d. n.)

Uznano, że projekt Koła Polskiego w budowie pełen sprzeczności i niedomówień, dostosować się pragnie do opinji »sfer«, że jego podstawą jest założenie absolutnej trwałości państwowych stosunków, zdrugiej strony nie było wątpliwem, że przy niedokończonem państwowem odnowieniu, (jakie projekt II Izby z góry przypuszcza) mowy być niemoże nietylko o powodzeniu akcji autonomicznej, ale wprost o jej poważnem traktowaniu. Rząd nie ma dziś ani jednej racji obdarzania Królestwa autonomją. Przemawiają przeciw temu mocne względy fiskalne, nacjonalne i pokrewne a za tem jedynie oferta Demokracji Narodowej, bezpłatnego «uspokojenia kraju»— ku czemu znakomicie na razie wystarcza dobrze do potrzeb dostosowany aparat administracyjny. Autonmja byłaby dziś dla Królestwa bezasadnym darem i dobrowolnem zrzeczeniem się ze strony rządu—dość mocnego by zrzeczeń uniknąć. — Projekt Koła Polskiego oparty na kontrrewolucyjnych zasługach Demokracji Narodowej i zwracający się do teraźniejszości państwa Rosyjskiego, spełnić nię nie może — z racji, że jest podstawowo sprzeczny z charakterem państwowej konstytucji, na której oprzeć się pragnie.

Niepowodzenie akcji petersburskiej w niczem nie może zmienić zasad polityki Demokracji Narodowej. Autonomja Król. Pol., jakkolwiek od 18 miesięcy okadzana niebosiężnym swędem patrjotycznych rozczulań i procesjonalnie po ulicach obnoszona z wiewem amarantowych sztandarów, nigdy nie była — i nie jest — dla Demokracji Narodowej uświęconym fetyszem i centrem politycznych działań. Chwila powołała ją do życia, jako efekt klasowych wskazań — i chwila druga złoży ją do grobu.

Fjasko politycznego przedsięwzięcia nie może przeobrazić gospodarczo reakcyjnej grupy w ważką siłę opozycyjną. Legitymistyczne zabiegi i lojalne życzenia społecznej prawicy, nawet mocą «rozczarowań» nie mogą się przerodzić w ofiarne dążenie — i wejść w zakres politycznych czynów.

Nieuniknionym skutkiem petersburskich niepowodzeń musi być rozbrojenie Demokracji Narodowej z marzeń polityki agresywnej i likwidacja autonomicznych usiłowań — bez reszty.

Społeczna lewica, wysuwająca z rozważeń najostateczniejsze konsekwencje, nie może się liczyć z efemeryczną ofenzywą Demokracji Narodowej i dostosowywać do niej swej akcji. Jasnem musi być dla niej od głębszych przyczyn zależne istnienie kampanji petersburskiej — i jasny do niej stosunek.

O ile w Taurydzkim Pałacu usiłowania Demokracji Narodowej są nieszkodliwym humbuglem, i «próbą szczęścia» na loterji politycznej, jako dźwignia nacjonalistycznej reakcji, systematycznie obmyślanej i planowo przeprowadzanej, są niebezpiecznem narzędziem tłumienia budzącej się świadomości ludowej, i wstępnym glejtem rozłamu w środowiskach robotniczych.

Naczelnem przeto zadaniem społecznej lewicy w stosunku do akcji autonomicznej Koła Polskiego, jest odbieranie ludowi złudzeń i bezlitośna krytyka wolnościowych w Petersburgu przedsięwzięć—swojskiej kontrrewolucji.

Formułowanie żądań zwróconych do przeszłości i układanie, wzorem mieszczaństwa, szczegółowych projektów, byłoby uprzedzaniem czasu i politycznem proroctwem.

Wystarczyć winny wogóle wskazania — oparte na żywej i wciąż zdarzeniom dnia odpowiadającej samodzielnej polityki.

Dla F. R. sprawa autonomiczna zgoła inne posiada z n a c z e n i e.

Frakcyjni publicyści, jakkolwiek głośno zawodzili nad ugodowością polskiego mieszczaństwa i wyrzekali na jego zaślepienie, pocichu nie przestawali się ani na chwilę pocieszać że «Kawalerski duch» nie wygasł w nim jeszcze gdy tak mocno się przejawił — w petersburskiej kampanji.

Usiłowania autonomiczne w Pałacu Taurydzkim były wprawdzie dokumentem przymierza z Rosyjskiem państwem i uznaniem «obcej» dumy za prawowitą instancję rządzącą, dla F. R. jednakże naczelną wagę miał ich n a r o d o w o z d o b y w c z y charakter, — przyćmiewający kłopotliwą resztę. Stosunek akcji petersburskiej do frondy w kraju nie mógł się jasno przedstawiać grupie, starannie z przelicznych powodów unikającej społecznych analiz. Nic też dziwnego, że nacjonalny w Polsce zgełk drobnego i wielkiego mieszczaństwa, był dla F. R. miłym objawem budzenia się czynnych sił narodowych, niezgodna z nim petersburska lojalność wydawała się nieszczęśliwem widmem pokornej przeszłości, lub wielką próbą o m y l e n i a t e r a ź n i e j s z o ś c i.

F. R. nie wierzyła w pomyślny skutek autonomicznych starań, traktując zaś poważnie taurydzką fanfaronadę Dem. Narodowej, w imię nierozpraszania narodowych sił, rozpocząć musiała próby odwodzenia Koła Polskiego od «śmiesznych prób wypraszania» tego, co jako «hasło par excellence rewolucyjne» przenigdy wypraszanem być nie może. Powoływano się przy tem na miarodajne opinje licznych rzeczywistych radców stanu, dowodzących, że autonomja jest pierwszą — i początkująca literą niepodległościowego alfabetu...

Wniosek prosty: dążąc do »lepszej przyszłości«, nie należy w siebie wmawiać przekonania o prawomyślności swych haseł i starać się o rządową koncesje na literę *a*, lecz śmiało stawiać czoło przeciwnościom— i recytować cały alfabet...

Wmówiwszy tak złośliwie w Bogu ducha winnych nar. demokratów przeciwpaństwowe zamiary, F. R. odkryła tryumfalnie pod ich baraniem runem wilczą skórę i obwieściła z łoskotem, jako «głupią» i złą polityką jest ukrywanie tego i wmawianie w siebie, że pragnie się w gruncie rzeczy czegoś leżącego w dobrze zrozumianym interesie rządu, gdy w rzeczywistości i t. d....» Równocześnie raz jeszcze zapewniła współczesność o potrzebie ogniskowania separatystycznej polityki i piętnując niedołęztwo petersburskiej dumy i niemożliwość urzeczywistnia przez nią rewolucyjnych haseł autonomicznych, w myśl zasady «l'appetit vient en mangeant», zastanawiać się poczęła nad kapitalną wagą odżycia w Polsce samorządnych instynktów, ich ekscytującej mocy — i jasnej w społeczeństwie naszem przyszłości.

Zgodnie z tem, Demokracja Narodowa, niegdyś lekce przez F. R. ważona jako pstra gromada półgłówków, urosła teraz do godności poważnej politycznej siły—zbłąkanej złą mocą bogów na niewłaściwe tory.

Duma miała się dla niej stać bogatą w pedagogiczne efekty szkołą «psiej skóry» — F. R. «ojcem, matką».

I rosły majorowe tony frakcyjnej publicystyki z coraz cięższem Taurydzkiej maszyny kół skrzypieniem... Rosła pewność gromadnego ekcesu mieszczańskich sił do polityki separatystycznej i wzmagała się nieustannie — do chwili rozwiązania II Izby Państwowej...

Wtedy nadzieje F. R. doszły do zenitu — i wtedy Demokracja Narodowa w nieoczekiwanej mierze odpowiedziała zaufaniu... społecznej lewicy.

Jak od podmuchu burzy, runęła w gruz agresywna petersburska kampanja Koła Polskiego. Delegacja polska w III dumie, zmiejszona o $^2/_3$, w dyskusji adresowej nie wspomiała już o autonomji. Zastąpiono ją liczmanem «słusznych żądań narodów nierosyjskich»—sprowadzającym sprawę autonomji do rzędu ulg paszportowych dla kirgizów, zniesienia granicy osiadłości dla żydów, reorganizacji szkół mahometańskich i t. p.

Likwidacja polityki autonomicznej, w Petersburgu bezceremonjalna — w kraju największej wymagała prze-

zorności. Chodziło tu przecież o zachowanie prestige'u u maluczkich, nad miarę prawie ufających swym wodzom, lecz nader wrażliwych na zewnątrzną konsekwencję ich działań.

Opinji publicznej nie można bezkarnie przerażać niespodziankami i niepokoić zawodami; należy ją sugestjonować powodzeniem i w podniosłym utrzymywać nastroju mocą nieustającą nawet w rozterce.

Mądra polska reakcja doskonale pojęła znaczenie tej zasady. Demokracja Narodowa, pod grozą cywilnej śmierci zrzec się autonomji — nie mogła; o niepowodzeniu swem i zaniechaniu w przyszłości autonomicznych zabiegów, milczeć — musiała. Niemniej koniecznem było dla niej oswojenie publiczności ze stanem sprawy autonomicznej — nie kompromitujące nikogo i w razie potrzeby dające możność bezpiecznej rejterady.

Położenie było niełatwe. Zjawić się musiał chyba »bóg z machiny« i nagłym sukursem ocalić niefortunnych autonomistów z dziejowej opressji... I zjawił się pan T. Grużewski z artykułami »o hipnozie« i »gratyfikacji autonomicznej«.

Enuncjacja p. G. z przedednia II dumy ma wartość niemal historycznych dokumentów: jest kwintessencją dotychczasowego żywota Dem. Narodowej i natchnionem spojrzeniem w jej przyszłość.—.

P. Grużewski rozróżnia w haśle autonomicznem dwa zakresy ideowe: postępowo-demokratyczny, oparty na wierze w przemiany Rosji i »prawdziwy czerpiący moc z wnętrznych sił narodu«. Pierwszy beznadziejnie zlikwidowała kampanja petersburska; wtóry wciąż realną przedstawia wartość.

»Koncepcja postępowej demokracji stanowiąca istotę jej programu autonomicznego, polegała na wierze w szybkie i pomyślne przekształcenie stosunków w państwie rosyjskiem oraz na wierze w decydującą potęgę dobrej woli kadetów, którzy po dojściu do władzy mieli realizować nadzieje autonomiczne. W szczególości »program« ten opierał się na »układach« z rosyjskiemi partjami wolnościowemi i na uchwałach zjazdów moskiewskich. Jedne i drugie uznano za realne wartości polityczne, niejako za kapitał zakładowy samego programu.

Fjasko kampanji Koła Polskiego dowiodło utopijności powyższego pojmowania. »Gratyfikacji autonomicznej« Król. Pol. ni od rządu, ni od rosyjskich partji wolnościowych — nie otrzymało. Dalsze prowadzenie polityki autonomicznej »stało się dzisiaj objektywną niemożliwością, bez względu na to, czy ktokolwiek zdaje sobie z tego sprawę, czy też nie». Terenu walki, środków i świadomości celu dziś nie posiadamy. «O żadnych prawdziwych wytycznych w tej chwili niema mowy i zamiast myśli politycznej mamy kupę śmieci ze strzępów różnych programów i haseł».

Od trzeciej Izby nie można się spodziewać narodowych ustępstw — obawiać się trzeba eksterminacji. Należy z tego wysnuć konsekwencje, przyznać się do błędu i nie »transponować wciąż fikcyjnej koncepcji na nowe stosunki». Opinja publiczna musi się wreszcie z tem oswoić, że program autonomiczny posiada dziś «wartość biletu loteryjnego po ciągnieniu» — i że nie można nim przedsiębrać naiwnych i kompromitujących operacji. Program dwuletniej bezpłodnej walki należy dziś szczerze i otwarcie odrzucić — w interesie jasności narodowej myśli i sprawności działania.

Likwidacja programu autonomicznego, chybionego dzieła postępowej demokracji, przyniesie ten skutek, że środek ciężkości naszych dążeń przesunie się ze zjazdów moskiewskich do naszego społeczeństwa i oprze na jego własnych siłach? I dziś już środek ów nie spoczywa w Izbie i w polityce parlamentarnej, lecz w siłach i dzielności samego społeczeństwa. Jeżeli te siły rozwiniemy i odpowiednio skierujemy, zdobyć możemy nawet więcej niż nam obiecuje p. Milukow, jeżeli zaś pozwolimy im marnieć i rozpraszać się, jeżeli nie przestaniemy liczyć na gratyfikacje, czy to ze strony rządu, czy kadetów, czy jeszcze kogo innego, to spadać będziemy coraz niżej, chociażby wszystkie niemowlęta w kraju nauczyły się szczebiotać wyraz: »autonomja».

Jedyne wyjście z fatalnego położenia leży w organicznej pracy nad wzmożeniem narodowej siły. Kryzys rosyjski nie zakończył się jeszcze. »Cokolwiek kryzys ten przyniesie rezultaty będą wypadkową działających sił i my też nie otrzymamy nic więcej ponadto co zdołamy wywalczyć, lub pracą własną stworzyć. Nie czekając szczęśliwego losu na loterji politycznej, jeżeli jesteśmy coś warci winniśmy wzmacniać energją zbiorową i pogłębiać myśl polityczną. Jednemu i drugiemu przeszkadzają niedorzeczne rachuby, — które też jak szkodliwe zielsko wyrywać należy»...

P. Grużewskiego poparł chętnie „Goniec", półurzędowy organ p. Dmowskiego. Pan Z M. w 517 i innych N-rach tego pisma nieco ordynarniej, ale o wiele wyraźni j skreślił autonomiczne perypetje... Postępowej Demokracji. Z oburzeniem odrzucił »kuszące mamidła», zastawione na »naród» przez autonomistów, i pod pręgierz stawił tych, którzy chcą lud hypnotyzować i usypiać obietnicami zamków na lodzie pragnień... Lud nie da się uwodzić programowym papierkiem — „mającym wartość odurzania i osłabiania"... Zostawia go tym, którzy na czyn twórczy i akcję polityczną zdobyć się nie umieją, których jedyną wartością w życiu politycznem jest czcze i puste deklamatorstwo i używanie języka do wymachiwania, niby ogonem, na znak, że się żyje czuwa i pracuje dla dobra kraju.

Nie oznacza to bynajmniej rezygnacji z polityki autonomicznej, której żywy lud wyrzekać się nie może, — lecz przeniesienie autonomicznych starań z zewnątrz — we wnętrze narodu. Oglądanie się bowiem na taurydzki Pałac szkodzi realnej pracy w kraju: „Nawet prace kulturalne, szerzenie oświaty, spółki, Towarzystwa rolnicze, związki zawodowe nie rozwijają się tak pomyślnie, jakby to być powinno, jakby to zresztą było, gdybyśmy czekali na przyjście Mesjasza, ale uświadomili sobie, że mocne zajęcie tych nawet placówek jest rzeczą nadzwyczaj doniosłą, tem donioślejszą i potrzebniejszą, im mniej mamy na razie szans do zrealizowania naszych dążeń".

Przytoczone przez nas cytaty dają dokładne pojęcie o autonomji wewnętrznej" danej opinji publicznej, wzamian za rozwiane złudzenie „autonomji zewnętrznej".

Z programu dnia uczyniło rozbrojone mieszczaństwo — program czasu przyszłego. W Petersburgu pozbyło się nadziei politycznych zdobyczy — i wiarę „w lepszą przyszłość" przeniosło na wnętrze narodu: związki zawodowe, oświatę, spółki, stosunki rolnicze i t. p.

Poczęła się powrotna fala organicznej pracy. W imię idei dziś już nie „wewnętrznej niepodległości", lecz tylko „wewnętrznej autonomji rzeczywiści gospodarze tego kraju" zawołali: „zanim przystąpimy do rządzenia krajem, nauczmy się rządzić parafją".

Dla żywiołów niezadowolonych wskazanie jasne: niesolidarność w parafji jest narodową zdradą, ponieważ przeszkadza „rzeczywistym gospodarzom objąć rząd w kraju".

Quod erat demonstrandum.

Życie miewa niekiedy nieobliczalne gesty: w chwili gdy w obozie F. R. począł się kurs autonomiczny z mocnemi tendencjami zwyżkowemi — Demokracja Narodowa zwiastowała „autonomję wewnętrzną" w parafji...

J. Kord.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

I.

A toć on nam tętni dziś,
jak grzebiemy, kto nam drogi,
zwołuje nas, każe iść
posłuchać kościelnych szumów,
w wielkim zamęcie rozumów,
w wielkim modlitew rozjęku,
On pan, ten dzwon królewski
nieustający w brzęku,
o pękniętem sercu
nasz ton...

(*Wesele*, akt II, scena 7)

I grał Mu ów Dzwon Zygmuntów, gdy tłum stutysięczny, w żałobie dymów z pochodni i rozjęku marszów pogrzebnych niósł Jego zewłok do grobowca zasłużonych na Skałce. Hołd składał Mu naród cały, bez różnicy stanów, wyznań i przekonań polityczno-społecznych, za mękę Jego i za trud, za pieśń nieustanną Jego duszy, za pieśń szczodrą i królewską, którą temuż narodowi przez życie całe, latami krótkie a trudem ofiarnym ogromne, niósł w dani. Szli za grobem Jego ci, których kochał, i ci, któremi gardził. A pierwsi szli przez wdzięczność i umiłowanie głębokie, a drudzy szli przez strach, który im w dusze wpoił. I chwila była tem osobliwsza, że nad mogiłą świeżą pochyliły się ze czcią nawet czoła tych, którzy pieśni Jego nie czytali nigdy lub czytając — nie rozumieli, którzy na obrazy Jego patrzeć nie chcieli, lub patrząc na nie — plwali. Duch wielki, odlatując w zaświaty w uścisku ostatnim objął dusze wszystkie i przepoił je czcią i umiłowaniem serdecznem. I nad mogiłę świeżą pochyliła się w zadumie bolesnej Dusza Narodu, czując, że ubył ktoś, kto nauczył ją cenić wielkość jej własną, ktoś ponad wielkich wielki i ponad wszystkich umiłowany...

O Wyspiańskim można powiedzieć, że sławę i miłość u narodu zdobył szturmem. Toż zaledwie siedem lat temu na palcach można było zwłaszcza w Warszawie policzyć tych, którzy słyszeli o artyście, snującym w zaciszu pracowni sny wielkie o ogromnych dekoracjach kościelnych, o witrażach upiornych, o tragiedjach potężnych, obejmujących życie przeszłe, teraźniejsze i przyszłe — Narodu. Dzień 16-go marca 1901 roku był tym dniem decydującym, w którym narodziła się sława nieśmiertelna Wyspiańskiego. W dniu tym wystawiono po raz pierwszy na scenie teatru krakowskiego „Wesele". Z desek scenicznych ustami aktorów, kompozycją dekoracyjną, nową i niespodziewaną przemówił do tłumu artysta. który już zdobył Wielkość i który szedł na podbój duszy zbiorowej swego społeczeństwa. I przed majestatem Wielkości ukorzyła się Dusza.

Nie jest to bynajmniej dziełem przypadku, że „Wesele" właśnie odsłoniło przed narodem nowe słońce jego ducha. I wcześniejsze i późniejsze dzieła Wyspiańskiego noszą znamię królewskie gienjusza. W twórczości Wyspiańskiego znajdziemy dzieła lepiej może niż „Wesele" zbudowane („Klątwa", „Bolesław Śmiały"), znajdziemy ustępy równie potężne i przepychem twórczym świetne („Wyzwolenia" akt III), nie znajdziemy wszakże ani jednego, w którem z równą siłą by się wyraziły pragnienia najtajniejsze, tęsknoty niewypowiedziane, ideały najskrytsze pokolenia dzisiejszego. Jakże nie miał drgnąć boleśnie, skupiony na widowni teatru krakowskiego tłum, gdy mu nagle ukazano w zwierciadle odbicie tragiczne jego oblicza, gdy mu z płaczącą bólem okrutnością odsłonięto jego rany, starannie ukrywane, gdy mu na scenę wywleczono nagle głąb najtajniejszą jego istoty?

Samym artyzmem, samą nowością i przepychem form artystycznych nie można wyjaśnić tajemnic tego wpływu, który Wyspiański na pokolenie współczesne wywarł i wywiera. Tajemnic tego wpływu szukać należy w tej łączności ścisłej a głębokiej, jaka istnieje między mimozowo wrażliwą duszą poety a duszą pokolenia.

Ci, którzy odczuwali boleśnie trującą martwotę życia codziennego, którzy czuli, jak „duch się w każdym poniewiera", których dusza rwała się do „ogromnych wielkich rzeczy" wbrew „skrzeczącej" i „tłoczącej pospolitości", których paliło pragnienie, by „ramię rozpostrzeć szeroko, wielkie skrzydła porozwijać, lecieć, a nie dać się mijać", nie mogli nie zadrżeć, gdy im tę tajemnicę serc nagle ze sceny odsłonili Poeta i Gospodarz.

„Chwila była osobliwa". Dusza społeczna stała na przełomie dziejów. «Dawność walczyła» z teraźniejszością, w duszach „coś się burzyło", był moment zwątpienia tak bolesnego, kiedy z ust rwały się pytania tragiczne, „czy my mamy prawo do czego, czy my mamy jakie prawo żyć, my motyle i świerczcze w niewoli", — kiedy wołało się bodaj o nieszczęście, bo „możeby Nieszczęście nareszcie dobyło nam z piersi krzyku, krzyku, coby był *nasz, z tego pokolenia*"...

Społeczeństwo podzieliło się na obozy. Jedni w spokoju serc i ducha byli na wygodnem posłaniu nizko, podle zrozumianego pozytywizmu i dbali jedynie o całość i potrzeby brzucha; drudzy w poniewierce ducha i tęsknocie bezmiernej upajali się chciwie narkotykiem obcej i dalekiej sztuki, którą nieśli im z Zachodu Mirjamowie i Przybyszewscy, i trzeci znowu w trudzie znojnym i w męce nieustannej, osłonięci romantycznym mrokiem tajemnicy w pocie czoła przygotowywali grunt pod zasiewy przyszłości. Pierwszym wystarczała sztuka tingeltanglów i co najwyżej komedyj i romansów francuskich, ostatni bili pokłony gwiazdom wschodzącym Sieroszewskiego i Żeromskiego. A w głębi dusz — wszyscy pragnęli Poety. Poety, coby z polskiej piersi młodego pokolenia przemocą wydarł krzyk własny. I Wyspiański we wnętrzu własnem to „swoje" odkrył i tem stał się wszystkim drogi.

Odkrycie to nie przyszło łatwo. Trzeba było mieć zaiste wzrok orli i duszę wrażliwą jak harfa eolska, co gra wiatrem trącana, by w chaosie zjawisk splątanych nie zagubić się i rozpoznać. A gdy ów trud dokonany został, gdy duszy narodu głębie tajemne przed poetą odsłoniły się, Wyspiański rys jej każdy w postać odmienną zaklął i sprosił wszystkie razem na szalone jasełkowe „Wesele". Nie krępował się niczem. Gdy dla wyjaśnienia tajemnic nie starczyło symboliki zestawienia fraków miejskich, siermięg chłopskich i kapoty żydowskiej, z zaświatów przywołał zbroję rycerską i widmo zdradzieckiego hetmana i czapkę błazeńską Stańczyka i złoty róg Wernyhory i wiecheć słomiany chochoła. Połączył pary w zestawieniach najbardziej nieoczekiwanych, a tak przecie po wpatrzeniu się w nieprostych, most złoty rzucił między przeszłość a dzień dzisiejszy i skamienieć kazał jasełkom w oczekiwaniu haseł rodzącego się po mrokach nocy dzisiejszej świtania.

Jeśli „Wesele" kończy się akordem w istocie swej niezmiernie tragicznym (Jasiek gubi „złoty róg", na którym miało być wygrane umówione hasło), jeśli w akordzie tym odzwierciedlił się nastrój niezmiernie pesymistyczny, to nie znaczy to wszakże wcale, aby pesymizm ten był beznadziejny. Dziś niedołęstwu naszemu i głupocie gra do sennego tańca

wiecheć — chochoł. Lecz róg nie zaginął na zawsze, wierzymy, że znajdzie się, wierzymy pomimo rozpacz Jaśkową, pomimo przemożną siłę chochoła. Róg ten odezwie się jeszcze, a głos jego echem rozgłośnem zagra przedewszystkiem w piersi chłopskiej. Na wsi bowiem, w ludzie szukać należy niezbędnej dla czynu dzielności, bo chłop „ma coś z Piasta", bo „jest potęgą", bo siedzi w nim siła, że „niechno ino kaj — gdzie świśnie, to słychać, jak w ziobrach chrzęści", bo chłop wierzy w potęgę gromady i moc wysiłku gromadzkiego, bo nie hamletyzuje, gdy życie o czyn woła i nie skarży się, że „jest ktoś, co mu skrzydła rozwija i ktoś, co mu skrzydła pęta", bo nie marzy bezsilnie o tem, aby „na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna", bo „jak trza się mirzać z czego", to on „w sobie" nic nie „skryje", bo on, jak „pon" nie widzi „ino pchły, świecidła, rosę, ćmy", lecz czuje asno, że w nim „dnieje, dusza świci", bo on nie pieści się niedołęstwem własnem, lecz wierzy w moc swego ducha.

Wyspiański wraz z Czepcem wierzy głęboko, że odnowienie piękna przyjdzie ze wsi i że stamtąd tryśnie zdrój kryształowy nowego życia. Nie potrzeba do tego, by miasto szło na wieś. Fraki na „weselu" śród kierezyj i kapot chłopskich wyglądają śmiesznie. Pan Młody „przecie jutro zruci" ten strój mieniący się kolorami, pan Młody ino „się narodowo bałamuci", jemu serce „wali młotem", gdy widzi pannę Młodą „z tą koroną świecidełek, w tym rozmaitym gorsecie, *jak lalkę dobytą z pudełek w Sukiennicach, w gabilotce*"; i chłop rozumie, ile w tem zbliżaniu się do ludu jest bałamuctwa: „ot pany się nudzą sami, to sie pieknie bawiom z nami", — mówi Ojciec. A Żyd z właściwem mu odczuciem realności życiowych: „taka szopka bo to nie kosztuje nic, potańcować sobie raz: jeden Sas, a drugi w las". (Złudzeniem jest również zbratanie się szlachcica z Żydem: są to „tacy przyjaciele, co się nie lubią").

Michał Mutermilch.

OTTO BAUER.

ZAGADNIENIE NARODOWOŚCI.

(Dalszy ciąg).

Krok naprzód pod względem upowszechnienia kultury narodowej widzimy w okresie produkcji towarowej, gdy powstaje nowa klasa — mieszczaństwo.

Wyrastające znaczenie produkcji towarowej pociąga za sobą wzrost miast. Do miast wędruje młodzież wiejska i oddaje się tam rzemiosłom. Dalszy rozwój i towarzyszący mu wzrost ludności ogranicza coraz bardziej środki życia rolnika, który słusznie wędruje do miasta, gdzie w charakterze proletarjusza sprzedaje swoją siłę roboczą. Powstaje warszat kapitalistyczny — manufaktura. Jednocześnie rozwijają się wzajemne stosunki wsi i miast, między któremi istnieje stała wymiana produktów. Wzrost wymiany daje panu możność bogacenia się kosztem pracy swoich poddanych, to też rośnie wyzysk do granic niebywałych. Chłop zostaje wyzuty z ziemi, pańszczyzna i czynsze rosną z dnia na dzień. Ale tem chętniej przysłuchuje się chłop głosom idącym z miasta, gdzie już dość zróżniczkowana ludność wytwarza swoistą kulturę miejską.

Lecz przemiany te przyczyniają się nietylko do bezpośredniego przekształcenia stosunków w mieście i na wsi, ale wpływają pośrednio również na dziedzinę polityczną, budując nowe państwo — państwo współczesne. Produkcja towarowa i niezmiennie towarzyszący jej pieniądz pozwalają feudałowi uwolnić się od drogich i niepewnych usług dworaków. Za pieniądze wynajmuje on sobie zarządców i urzędników, pieniądze dają możność utrzymywania na żołdzie uzbrojonych proletarjuszów i chłopów i uniezależnienia się od wojska rycerskiego. W ten sposób powstaje nowa klasa — biurokracja i jednocześnie upada powaga rycerstwa. Wreszcie znika przewaga rycerstwa w narodowej wspólnocie kulturalnej natomiast wyłania się i potężnieje majątkowo i ilościowo klasa mieszczaństwa, w ręce której dostaje się przywództwo kulturalne Niemiec.

Źródłem kultury rycerskiej były wywczasy żyjącego z pracy rolnika rycerstwa. Kultura mieszczańska natomiast posiada źródło swej potęgi w pracy mieszczaństwa. Nie obyczaje dworskie stanowią jej czynnik, lecz wiedza i znajomość rzeczy niezbędna kupcowi i rzemieślnikowi. W ten sposób wraz z wystąpieniem mieszczaństwa na scenę dziejową, pojawia się również szkolnictwo i rozpowszechnia nauka czytatania i pisania. Oczywiście, że wraz z różnicowaniem się ludności miejskiej różnicuje się również kultura mieszczańska. Wyższe mieszczaństwo wytwarza swoją wyższą kulturę, przyjmuje wysoką ówczesnych Włoch — Kulturę Odrodzenia Na niższym stopniu kultury znajdują się rzemieślnicy, jeszcze niżej proletarjusze.

Chodzi nam jednak nie o dzieje rozwoju tej kultury, lecz o stwierdzenie w jaki sposób kultura mieszczańska stała się cementem spajającym naród. Rozwój czytelnictwa i piśmiennictwa, wzrost niezbędnej przy rozwiniętej wymianie, komunikacji stwarza tendencję ujednostajnienia kultury. Im szersze kręgi zatacza kultura tem konieczniejszem jest zarzucenie łaciny i posługiwanie się językiem niemieckim. Wszakże stoi na przeszkodzie rozmaitość narzeczy i oto zarządy państw i miast przychodzą z pomocą i wytwarzają język ogólny, coraz bardziej upowszechniający się; w języku kancelarji saskiej przemawiał Luther i na ten język przetłumaczzł biblję, odtąd język ten staje się własnością literatury i szkoły, a język kancelarji, handlu, literatury i szkoły musi zostać językiem jednoczącym wszystkich ukształconych Niemców.

Wyraz tej nowej wspólnoty kulturalnej dała reformacja, porwawszy w wir walki partyjnej klasy ukształcone, na które strony walczące oddziaływały zapomocą słowa drukowanego. Ale jednocześnie dowiodła reformacja połowiczności tej wspólnoty: klasy wydziedziczone zrozumiały na swój sposób odrębny ruch reformacyjny, wyciągnęły z niego konsekwencje rewolucji, która została zgnieciona przy pomocy samego Luthra.

Granice mieszczańskiej wspólnocie kulturalnej zakreślają się tedy zupełnie wyraźnie: obejmuje ona dworaków i szlachtę dworską, urzędnictwa kancelarji, zamożne mieszczaństwo i nowopowstałe zawody wyzwolone miast. Wykluczony zaś z udziału w niej pozostaje nietylko proletarjusz miejski, ale i dźwigający ciężkie brzemię pracy rolnej — chłop.

Okres mieszczański wciągnął niewątpliwie do wspólnoty kulturalnej szersze koła społeczne niż okres rycerski, wszakże i ten okres rozdziela naród na dwie części, z których tylko jedna przyswoiwszy sobie kulturę narodową zostaje przez to objęta przez narodową wspólnotę kulturalną, podczas, gdy warstwy niższe, na pracy których ta wyższa kultura spoczywa, pozbawione są jej dobrodziejstw i do kulturalnej wspólnoty narodowej nie należą.

Po krótkim stosunkowo rozkwicie niemieckiej gospodarki kapitalistycznej, następuje, wskutek poważnych przeobrażeń gospodarczych, znaczna reakcja, która rozpoczyna się z chwilą przesunięcia się wielkich dróg handlowych i trwa od połowy XVI-go do połowy XVIII-go stulecia. Handel niemiecki ustępuje pierwszeństwa handlowi hiszpańskiemu, holenderskiemu i angielskiemu, słabnie potęga nowonarodzonej klasy mieszczańskiej, a, co za tem idzie, wynurzają się znów na powierzchnie klasy uprzywilejowane — szlachta, która utrwaliła się na wyższych szczeblach biurokracji i arystokracja dworska, wywierające właściwy sobie wpływ na kulturę narodu. Powracają obyczaje francuskie, które jak za dawnych czasów panują niepodzielnie na dworach, natomiast zanika swoistość kultury niemieckiej. Klęska kontrreformacji i wojny trzydziestoletniej zburzyła do reszty pozostałości kultury mieszczańskiej. Wszakże nowe państwo, powstałe na gruncie produkcji towarowej, nie mogło już istnieć nie przywłaszczając sobie, w postaci brzęczącej monety, części wytwórczości kraju; bez pieniędzy bowiem niepodobna było ani utrzymać biurokracji, ani podołać rosnącym potrzebom nowego militaryzmu. To też państwo widziało się zmuszonem poprzeć usiłowania kapitalistów i zapomocą całego systemu ceł ochronnych i protekcji usunąć konkurencję zagraniczną i, zabezpieczywszy bezkarny wyzysk robotnika, pchnąć kapitalizm na drogę rozwoju. Pod skrzydłami tej opieki kapitalizm niemiecki zaczął się odradzać, a wraz z nim odrodziło się niemieckie społeczeństwo mieszczańskie, jego kultura. Język niemiecki wyparty na dworze przez francuzczyznę, a przez łacinę wśród biurokracji i stanów ukształconych znów zdobywa prawo obywatelstwa, powstają szkoły niemieckie i rozwija się niemieckie piśmiennictwo. „Epoka oświaty“ i cała plejada poetów i myślicieli XVIII-go stulecia zakończyli ten okres nowych narodzin mieszczaństwa niemieckiego.

(*C. d n.*)

HORYZONT POLITYCZNY.

Wśród ogólnego przygnębienia i upadku wszelkiego gorętszego zainteresowania sprawami odnowienia państwa rosyjskiego drogą pokojowej pracy w Dumie, zajmuje się obecnie opinja rosyjska chętnie polityką zewnętrzną, jakgdyby spodziewając się jakiegoś cudu — jakiegoś skrzydlatego ducha, który przybędzie z za morza i poprowadzi na drogę szczęścia naród rosyjski. Ani proces portarturski, ani proces socjalno-demokratycznych posłów drugiej dumy, który się zakończył skazaniem na 4 — 5 lat katorgi najwybitniejszych z nich, między któremi znajduje się wczorajszy trybun, bicz boży dla wszelkiej reakcji w drugiej dumie, Ceretelli, ani zbliżający się proces *monstre* o odezwę wyborską; ani wreszcie rozruchy uniwersyteckie, — nie zdołały wywołać większego poruszenia umysłów, jakgdyby lodowaty mur stanął przed społeczeństwem rosyjskiem, odgradzając je od życia politycznego, zamrażając w niem myśl społeczną.

Natomiast budzi powszechne zajęcie *podróż amerykańskiego ministra wojny, pana Taffta.* Czego pragnie od nas ten amerykanin, z jakiemi przybył zamiarami? — zapytują pisma wszystkich kierunków. Niewątpliwie wizyta amerykańskiego ministra z świtą nie posiada charakteru wyłącznie prywatnego, szczególnie jeśli się zważy powtarzające się w ostatnim czasie antijapońskie rozruchy w Ameryce i energiczne noty rządów Mikada wystosowywane po każdym takim wypadku pod adresem rządu amerykańskiego. Pamiętamy również doniosłą rolę, jaką odegrał w swoim czasie prezydent Roosevelt przy zawarciu pokoju Portsmuthskiego. Prasa brukowo-gadzinowa wszelkich odcieni wyśpiewywała wówczas hymny na cześć wielkiego apostoła pokoju, który swoją energją położył kres dalszemu krwi przelewowi na polach mandżurskich. Ba, nawet kongres wolnomyślicieli w Paryżu uważał za stosowne wyrazić hołd twórcy pokoju. Tylko nieliczne głosy wskazywały wówczas na istotne pobudki prezydenta republiki trustów, na antagonizm Ameryki i Japonji wynikający z wspólnego panowania na Oceanie Wielkim, na konieczność dla Ameryki wstrzymania w porę zwycięskiego pochodu Japonji, który może w konsekwencji zbyt wzmocnić tę ostatnią na niekorzyść Amaryki. Obecnie twierdzenia te sprawdzają się z całą dokładnością. Nie przebrzmiały jeszcze echa strzałów ostatniej wojny, a już toczy się zacięty spór pomiędzy Ameryką a Japonją o przewagę na Wielkim Oceanie. Stara kwestja rynków. Oba państwa pragną wywierać wpływ na Koreję i Chiny. Tymczasem Japonja z właściwym jej spokojem zagarnęła już Koreję, Chiny zaś japonizują się gwałtownie i nie ulega wątpliwości, że w najbliższej przyszłości połączą się one z Japonją, celem przeciwstawienia się potędze Ameryki. Nic tedy dziwnego, że Ameryka szuka sobie również sojusznika. W perspektywie pokojowość pana Roosevelta nie wygląda zbyt pokojowo...

Ciężkie chmury zaciągają nad widnokręgiem Finlandji. *Na wicegubernatora Finlandji został mianowany jenerał Zejn,* dawny towarzysz Bobrykowa, współtwórca historycznej obecnie polityki Bobrykowskiej. I stało się to bez uprzedzenia rządu finlandzkiego, ba, nawet bez wiedzy gubernatora Gerarda, który jak wiadomo trzyma się polityki odmiennej. Nic dziwnego przeto, że społeczeństwo fińskie, które tak wielkim kosztem, takim olbrzymim wysiłkiem zdołało po tylu ciężkich przejściach nareszcie wejść na drogę swobodnego rozwoju — głęboko zaniepokoiło się tem mianowaniem, tembardziej że jednocześnie rozeszła się pogłoska o blizkiej dymisji gubernatora Gerarda. Finlandczycy w ostatnim czasie uczynili wszystko aby podkreślić swoją lojalność w stosunku do Rosji i na napaści i szczucie nacjonalistycznej prasy odpowiadali jedynie zwiększeniem gorliwości pod tym względem, a mimo wszystko stało się to, czego się najbardziej obawiali.

W odpowiedzi na pruskie gwałty posypały się całe worki najrozmaitszych projektów, sążniste pomysły, jakby się zemścić na Prusakach. Jak po dniach wrześnieńskich, wyłoniła się znów kwestja bojkotu towarów niemieckich i sklepikarze pośpieszyli schować w bezpieczne miejsce ołówki Fabera, a natomiast ogłosić wszem i wobec, że sprzedają tylko ołówki krajowe, oczywiście gorsze od tamtych ale po tych samych cenach.. Jestto banalny przykład, wykazuje jednak całą istotę ekonomiczną przeprowadzonego bojkotu, i całą trudność wprowadzenia go w życie. Pozatem należy zaznaczyć, że bojkot towarów niemieckich nie dotknie tej klasy, która jest jedyną winowajczynią nowego gwałtu, mianowicie *junkrów* pruskich, natomiast odbije się na robotnikach którzy już zgoła nie sympatyzują z projektem. Mniejsza jednak z tem, bojkot przeprowadzony systematycznie i wytrwale miałby jednak olbrzymie znaczenie moralne, a może i pchnąłby nasz przemysł krajowy. Ale wśród wielu głosów poważnych, rozlega się jeszcze więcej śmiesznych, a nie brak i nikczemnych. Bo oto katolicko-obszarniczy publicysta galicyjski p. Caro, który niedawno popisywał się na »kursach« katolickich wystąpił z projektem, który istotnie zwraca się przeciw właściwym twórcom haniebnego projektu — obszarni-

kom. P. Caro proponuje *nie dawać* Prusom robotnika rolnego. Jak się dzieje robotnikowi polskiemu w Prusach o tem dobrze wiemy, niemniej jednak rokrocznie tysiące biedaków z Galicji i Królestwa wędruje do Prus, bo ztamtąd zawsze można coś przywieść dla uniknięcia śmierci głodowej. Obszarnikom, szczególnie obszarnikom galicyjskim jest ta emigracja solą w oku, gdyż zmusza ich do podniesienia nędznych płac na własnych łanach; chcieliby więc skorzystać z »narodowej« okazji i zwiększyć armję rezerwową pracy, aby tem łatwiej było wycisnąć z niej soki. Powrót emigrantów amerykańskich zmusza tem bardziej do zastanowienia się nad tego rodzaju hasłami. Na szczęście panowie ci nie mogą robotnika »dawać« lub «nie dawać«. Wracając do bojkotu zaznaczyć należy, że niemoże tego przeprowadzić kraj, nie posiadający własnego przemysłu, wypada więc ojcom narodu wskazać drogę właściwą — pracę nad uprzemysłowieniem kraju, szczególnie dotyczv to Galicji. gdzie rząd krajowy prowadzi politykę obszarniczą, tłumiąc w zarodku wszelki ruch przemysłowy. Słusznie powiada »Głos« lwowski:

»Wobec reakcyjnej polityki Koła polskiego bojkot pruskich towarów jest utopją, wstrzymanie robotników rolnych—nonsesem, powrót emigrantów amerykańskich—groźnem ostrzeżeniem. Ratunkiem może być tylko uprzemysłowienie kraju i i zaniechanie polityki agrarnej!«

Boiys Sarafow, znany przywódca ruchu macedońskiego padł od kuli zbrodniczej. W awanturniczem życiu tego bohatera rewolucji macedońskiej skupiła się jak w ognisku cała niedola narodu, jęczącego pod barbarzyńskim uciskiem despotyzmu tureckiego. służącego na przedmiot intryg dyplomatycznych wielkich mocarstw, które mając możność za jednem pociągnięciem pióra dać narodowi macedońskiemu samoistne życie narodowe, czynią z tego kraju arenę zapasów dyplomatycznych, patrząc przez palce na morze krwi na nim przelewanej. Sarafow, którego ojciec był również rewolucjonistą, ukończył gimnazjum w Salonikach, kształcił się w szkole wojskowej w Bulgarji, ale już od 16-go roku życia, ulegając swemu temperamentowi awanturniczemu rzucił się do walki zbrojnej i wkrótce objął dowództwo nad bandami macedońskiemi, siejąc postrach wśród ludności tureckiej.

W ostatnim czasie wśród przywódców ruchu rozpoczęły się niesnaski i władze tureckie nie omieszkały skorzystać z okazji, aby rozłam jeszcze bardziej zaostrzyć. Wersja urzędowa podaje jako powód zabójstwa Sarafowa — zemstę polityczną. Nie ulega jednak wątpiwości, że zabójca został zapłacony przez Turcję, która w ten sposób osiągnęła podwojony cel: uwolniła się od niebezpiecznego przeciwnika i zaostrzyła zatarg pomiędzy zwolennikami Sarafowa a jego antagonisty Sadańskiego.

Rzym otrzymał nowy cios w swojem własnem mieście — w Rzymie: »Wieczne miasto« w którem papieże korzystali dawniej z pełni władzy świeckiej wybrało na nowego prezesa rady miejskiej, burmistrza Rzymu — nie tylko nie zwolennika Watykanu, ale i nie patrycjusza rzymskiego, co gorsza, nawet nie antiklerykalistę nie republikanina, nie socjalistę nawet lecz — o zgroza!— żyda, pochodzącego z Anglji, mistrza frankmasonów włoskich Ernesta Natana. W starożytnym kapitolu będzie żądził żyd i frankmason!. Po uporczywej walce katolików z blokiem antiklerykalnym, składającym się z wszystkich przeciwników klerykalizmu — liberałów, socjalistów i republikanów zwycięstwo antiklerykałów przeszło wszelkie oczekiwania i ostatni kandydat wystawiony w spisie koalicji antiklerykalnej otrzymał o 3,000 głosów więcej niż pierwszy kandydat z listy »związku rzymskiego«.

Było to w czerwcu na wyborach częściowych. Wówczas pozostali w municypalitecie klerykali podali się do dymisji, oświadczywszy, iż nie mogą, wobec wyraźnej woli wyborów, zatrzymać swoich mandatów. Był to manewr. Masowa dymisja pozbawiła radę miejską prawnej liczby członków, należało przeprowadzić ponowne wybory całego składu, podczas których spodziewano się złamać koalicję antiklerykalną. Tymczasem wszystkie te nadzieje zawiodły i dziś Rzym posiada burmistrza »farmazona i żyda«. Rada miejska kierowała się w wyborze jedynie genialnemi zdolnościami administracyjnemj nowego burmistrza, ale Watykan inaczej to pojmuje: »Osservatore Romano« przyjął wieść o wyborze Natana z największem oburzeniem, upatrując w nim prowokację całego świata katolickiego, stolica którego znalazła się w rękach żyda i frankmasona. Na szczęście Watykan nie może już wznosić stosów i, mimo oburzenia, spadają nań coraz częściej ciosy ze strony antiklerykalnego chrześcijaństwa. Inaczej bylibyśmy świadkami spalenia na stosie nietylko Natana i rady municypalnej ale i całego Rzymu.

I jeszcze jedno: w Wiedniu burmistrzem jest Lueger, a w Rzymie — Natan!

Almar.

ECHA.

DWIE MIARY.

W uniwersytecie lwowskim podczas uroczystości imatrykulacji znów miały miejsce zajścia niezmiernie opłakane, które zakończyły się bójką karczemną i tłuczeniem szyb i sprzętów. Zajścia te, odbywające się perjodycznie i coraz częściej, mają tę jeszcze złą stronę, że są zazwyczaj nie tyle wybuchem żywiołowym temperamentów młodzieńczych i zacietrzewień szowinistycznych, ile wyrazem pewnej zgóry uplanowanej akcji, skutkiem utajonej a złej roboty, paczącej dusze i charaktery młodzieży akademickiej. I tym razem wiadomo było naprzód, że młodzież nacjonalistyczna polska zaprotestuje przeciw wszelkim »ustępstwom dla Rusinów«, chociaźby one były tak błahe, jak odczytanie roty przysięgi po łacinie zamiast po polsku, i że młodzież rusińska skorzysta z aktu imatrykulacji, by dać wyraz swym dążeniom do stworzenia wszechnicy rusińskiej.

O ile potępić należy jaknajostrzej argument pięści i pałki, używany w walce o prawa na kulturę, o tyle nie można nie uznać słuszności dążeń ludu rusińskiego do źródła własnego oświaty i nauki. Wielomiljonowy naród rusiński, który w Galicji mieszka i pełni swe obowiązki obywatelskie, ma zupełne prawo żądać, by na ziemi przezeń zamieszkiwanej, rozgorzało światłem wiedzy ognisko, podtrzymywane i podniecane własnemi tego narodu siłami.

Zdawało by się, że najlepiej dążenia takie powinni rozumieć ci, którzy od szowinizmu i egoizmu narodów obcych ucierpieli najwięcej sami. Zdawało by się, że najlepiej dążenia takie powinni rozumieć ci, którzy wzięli sobie patent i monopol na uczucia patrjotyzmu. Tak zdawało by się, lecz tak nie jest. Narodowa Demokracja, która patrjotyzm utożsamiła z egoizmem narodowym, która, chcąc być konsekwentną, powinna by prawo do egoizmu takiego przyznać ludom innym, drze dziś na sobie szaty z oburzenia na pretensje »nieuzasadnione« Rusinów. W artykule p. t. »Walka o uniwersytet« *Gazeta Codzienna*. która potępia namiętnie młodzież rusińską za jej walkę niekulturalną o uniwersytet, nie znajduje wszakże, aby nagannem było ze strony młodzieży polskiej użycie pałek i pięści w stosunku do protestujących kolegów rusińskich.

Dla *Gazety Codziennej* jest to jedynie »wypadek smutny.

Z tolerancją iście rozrzewniającą publicyści endeccy oświadczają, że »Rusinom nikt nie odmawia prawa do posiadania uniwersytetu własnego«, zapominają tylko o tem, że o prawo na ten »uniwersytet własny« Rusini walczą już od szeregu lat i że »sfery rządzące« w Galicji dotąd jakoś o zadosyćuczynieniu tym żądaniom słusznym nie pomyślały.

Ale samo potępienie »wybryków« rusińskich nie wystarcza przywódcom N. D-cji. Jest jeszcze »jeden szczegół charakterystyczny« w dziejach walki o uniwersytet lwowski. Oto, dziwnym zbiegiem okoliczności »ostre paroksyzmy tej walki następują zwykle wtedy, gdy młodzież lwowska usiłuje wyrządzić przykrość... konsulowi pruskiemu«. Dla polityków N. D.-cji bowiem »porozumienie, istniejące pomiędzy rządem pruskim i Rusinami galicyjskiemi, jest faktem oczywistym!«

Insynuacja, oszczerstwo zawsze stanowiły broń ulubioną N. D-cji. Jak niedawne są te czasy, gdy ruch wolnościowy w Królestwie przypisywano agentom i pieniądzom pruskim?

»Spotwarzajcie, spotwarzajcie bezustannie, — powiada przysłowie francuskie, — zawsze trochę błota do spotwarzonego przylgnie«.

Narodowa Demokracja zapomina tylko o jednem: spotwarzanie i gnębienie Rusinów, walczących o prawo do kultury odrębnej, w chwili, gdy się jest gnębionym samemu i gdy się odwołuje do opinji świata ucywilizowanego, by zaprotestowała przeciw gwałtom pruskim, jest czynem wysoce nieuczciwym i grubym nietaktem politycznym.

Ale czy nasi »egoiści narodowi« są w stanie nieetyczność i głupotę taktyki podobnej zrozumieć?

Ślaz.

SPRAWA STRAJKÓW.

W 7 numerze „Społeczeństwa" umieściliśmy „wyjaśnienie senatu w sprawie związków zawodowych", z którego widać, że związkom zawodowym pozwolono tworzyć „Fundusze strajkowe". A więc ukaz z d. 16 grudnia r. 1905 znoszący artykuł 1358 kodeksu karnego zakazującego strajki, został ponownie potwierdzony.

Strajki ekonomiczne uzyskały tym sposobem prawo obywatelstwa w życiu społecznem. Są one jednym z głównych wskaźników rozwoju ruchu robotniczego; charakter żądań i ilość strajkujących, długotrwałość strajków, procent strajków wygranych — wszystko to wskazuje, do jakiego stopnia klasa robotnicza jest zorganizowana, odporna i solidarna.

Czytając dzieło Waszara „O staczecznom dwiżenji za god 1895-1905" stwierdzić musimy, że bez względu na znaczną skalę uświadomienia politycznego i solidarności, klasa robotnicza cierpi na brak zorganizowania, na brak związków zawodowych, dzięki czemu ruch robotniczy z taką trudnością kroczy naprzód: ustępstwa dziś uzyskane z łatwością mogą być odebrane jutro i przy pierwszej sposobności trzeba walkę rozpoczynać od początku.

Wspomniany Waszar pisze: „Strajk w Rosji nie jest obmyślanym, zorganizowanym aktem walki otwartej, nie zawiera ściśle i jasno formułowanych żądań, lecz powstaje przeważnie z jakiegoś drobnego wypadkowego powodu. Żądania wypracowywane są dopiero podczas strajku".

Na wypadkowość i niezorganizowanie strajków wpływa również brak wolności zgromadzeń, na których robotnicy mogliby swobodnie omawiać swe sprawy, wypracowywać żądania i badać wszystkie dane — zaś przeciw.

Wszystko to odbija się przedewszystkiem na długotrwałości strajków.

W Rosji, według obliczeń p. Prokopowicza są strajki bez straty dni roboczych.

Według obliczeń inspektorów fabrycznych w ciągu ostatnich $2^1/_2$ lat z 321 strajków, 229 trwało mniej niż 5 dni a tylko 55 z górą tydzień. Charakterystyczną jest rzeczą, że te krótkoterminowe strajki były zawsze korzystniejsze dla robotników.

Nieprzygotowanie i żywiołowość strajków czyni robotników niezdolnemi do przetrwania długiego strajku; skoro tylko strajk się przeciąga, robotnicy tracą prawdopodobieństwo zwycięstwa.

Oto co mówią cyfry o wynikach strajków: około połowy wszystkich strajków kończy się zwycięstwem przedsiębiorców, 28% kończy się wygraną robotników a 22% kończy się zobopólnemi ustępstwami.

Jeśli z danemi temi zestawimy długość strajków, to dojdziemy do bardzo poruszających wniosków: najszybciej kończą się strajki załatwione polubownie; trwają one przeciętnie krócej niż 2 dni. Nieco dłuższe są strajki dające zwycięstwo robotnikom, ale i te trwają zaledwo po 4 dni. Natomiast kiedy strajk się przeciąga, zwyciężają przedsiębiorcy. Średnia norma strajku kończącego się zwycięstwem przedsiębiorców wynosi 13 dni.

Dowodzi to, że jeżeli robotnicy nie mogą dobić się ustępstw po kilku dniach, sprawa ich jest przegrana, bo na długotrwałą walkę nie mają oni pieniędzy. 24-tygodniowy lokaut łódzki jest zjawiskiem wyjątkowem w dziejach naszego ruchu robotniczego.

Aby zrozumieć, w jakich wypadkach najczęściej zwyciążają robotnicy, należy zwrócić uwagę na najważniejsze żądania doprowadzające do strajków.

Według danych zaczerpniętych z dzieła Waszara z 1,765 strajków 1,071 wybuchło z pewodu płacy zarobkowej; 385 z powodu dnia roboczego; zatem z 2 tych powodów strajkowało $^4/_5$ robotników.

Wiemy wszyscy, jakie panują warunki pracy i wynagrodzenia w naszym i rosyjskim przemyśle. Nic więc dziwnego, że robotnicy te właśnie żądania wysuwają przedewszystkiem, nic dziwnego, że na tych punktach przedsiębiorcy często ustępują — tembardziej, że jak stwierdzono cyfrowo, równorzędnie ze skróceniem dnia roboczego wzmaga się intensywność pracy.

Zaznaczyć należy, że strajki są dwojakie: obronne i zaczepne. Obronne strajki są to te, w których zobotnicy bronią istniejących warunków pracy przeciwko próbom pogorszenia ich; zaczepnemi zaś są te, zapomocą których robotnicy chcą polepszyć warunki istniejące.

Statystyka dowodzi, że ze strajków zaczepnych dwie piąte kończy się zwycięstwem przedsiębiorców, a około jednej piątej załatwia się polubownie.

Natomiast ze strajków obronnych zaledwie jedna piąta część daje wygraną robotnikom.

Ponieważ książka Waszara pisana była w okresie, kiedy strajki były karane, więc przytacza cyfry dotyczące represji zastosowanych przez władze: z 796 wypadków w 269 stosowano aresztowania i wysyłki, a w 340 wypadkach wzywano nawet wojsko.

Oczywiście wobec ukazu z d. 16 grudnia r. 1906 obecnie takie wypadki już się zdarzać nie powinny.

P. W.

KRONIKA.

POSTANOWIENIE.

— „Wiadomości o przebiegu posiedzeń odbytego w d. 12 (25) i 13 (26) listopada r. b. w Warszawie zjazdu ze wszystkich części kraju Przywiślańskiego członków stowarzyszenia Polskiej Macierzy Szkolnej ujawniają: 1) że zasadniczym celem stowarzyszenia jest nie tyle zasługują-

ce na poparcie rządu oświecanie mas ludowych, ile występne podniecanie wśród ludu ducha ciasnej wyłączności narodowej, 2) że zjazd nie pomyślał o prawidłowem zorganizowaniu wykładów języka państwowego w szkołach Macierzy i tym sposobem utrwalił naruszanie prawa, dokonywane przez wymienione stowarzyszenie (art. 3761 t. XI cz. Zbioru Praw Ust. zakł. nauk. i Najwyższy Ukaz 14 października 1905 r, o prywatnych zakładach naukowych w guberniach K. P.) — i 3) że w łonie członków stowarzyszenia utrwala się niedopuszczalne w samej swej istocie dążenie do wyparcia ze składu stowarzyszenia najspokojniejszych jego działaczów i do skoncentrowania kierownictwa działalności stowarzyszenia w rękaah separatystów polskich.

Z powyższych względów uznaję dalsze istnienie wymienionego stowarzyszenia w obecnych niespokojnych czasach za szkodliwe dla porządku państwowego i spokoju społecznego i na zasadzie art. 12 przepisów stanu wojennego (Tom II Zb. Praw wyd. 1892 r.) postanawiam: „Stowarzyszenie Polskiej Macierzy Szkolnej“ zamknąć natychmiast wraz ze wszystkiemi jego oddziałami oraz podwładnemi mu instytucjami zakładami naukowemi w granicach Najwyżej powierzonego mi kraju. Obecne postanowienie zyskuje moc obowiązującą od dnia jego ogłoszenia. M. Warszawa, 1 (14) grudnia 1907 r. Podpisał: generałgubernator warszawski, Skałon“.

— Polska Macierz Szkolna w d. 1 lipca r. b. liczyła 116,341, członków, należących do 781 kół, rozsianych po całym kraju. Ofiarność publiczna na cele Kół i Zarządu Głównego łącznie dosięgnęła w roku minionym sumy 810,673 rubli, nic licząc nieruchomości i placów pod budowę szkół, ofiarowanych poszczególnym Kołom.

Szkół dozwolonych przez władze i posiadających zatwierdzonych nauczycieli było w d. 1 lipca r. b, 141, niezależnie od szkół zatwierdzonych na imię osób trzecich, a utrzymywanych i popieranych przez Macierz.

W ciągu roku ubiegłego założono 317 ochronek, 505 bibljotek i czytelń, zorganizowano znaczną liczbę kursów dla analfabetów oraz cały szereg odczytów i pogadanek z róż ych dziedzin wiedzy. We wszystkich tych instytucjach Macierzy, które nadesłały zarządowi głównemu 1 lipca r. b. wykazy swej działalności za rok ubiegły, pobierały naukę 63,000 osób, korzystało z ochronek 14,401 dzieci a z czytelń i bibliotek 400,544 osoby.

WIADOMOSCI BIEŻĄCE.

— Na mocy rozporządzenia władz skonfiskowano „Kalendarz Pogotowia“ na r. 1908 za zamieszczoną w nim kronikę historyczną; także zeszyt „Dziejów porozbiorowych“ i „Pieśni mazowieckie“.

— W Dolinie Szwajcarskiej odbywało się zebranie członków „Związku metalowców“. w tym czasie wkroczyła policja i po zrobieniu rewizji, aresztowala 140 osób, które nie posiadały przy sobie książeczek członkowskich, po paru dniach uwolniono wszystkich prócz 4.—Wcukrowniach Dobrzelin, Walentynów i Tomczyn zrobiono rewizję w mieszkaniach robotników i aresztowano 22 członków „Związku zawodowego cukierników“ w Warszawie.

— W Częstochowie 6 ludzi napadło na patrol wojskowy, raniony rewirowy i jeden żołnierz, zabity jeden z uczestników zamachu. — W Lublinie do mieszkania stróża Kwasiborskiego przyszedł jakiś nieznajomy, położył na stole kartkę z napisem: „Kwasiborski szpicel“, poczem z brauninga dał dwa strzały do śpiącego na łóżku Kwasiborskiego, który zmarł natychmiastowo, sprawca zabójstwa zbiegł.

— Z powodu uchwały o wywłaszczeniu ziemi polskiej w Prusach, w Królestwie w sferach przemysłowych i handlowych agituje się myśl powszechnego bojkotu towarów niemieckich. W związku z tem w „Warsz. Dn.“ czytamy: „14 b. m. (w sobotę), o g. 9 m. 20 w., do jachtklubu niemieckiego (Miodowa 4), w którym miało się odbyć zwykłe zebranie sobotnie, przyszło 2 ludzi nieznajomych, z których jeden uzbrojony był w browning. Ludzie ci zapytali, czy odbywa się zebranie i, po otrzymaniu odpowiedzi przeczącej od jednego z członków, weszli do salonu, w celu przekonania się o tem. Następnie zdjeli z szafy biusty cesarzy niemieckich, Fryderyka III i Wilhelma II, wyrzucili je przez okno i wyszli“. Przed kosulatem niemieckiem w Warszawie od paru dni ustawiono wartę wojskową.

— Na tle teroru ekonomicznego krawców w ciągu ostatnich dni miały miejsce w Warszawie trzy wypadki strzelania i rzucenia bomby do sklepów i mieszkań.

SZKOŁY.

— „Birż. Wied“. donoszą: Ministerjum oświaty zatwierdziło nowe przepisy, dotyczące szkół początkowych dla „inorodców“. W myśl tych przepisów, wykład w szkole początkowej dla obcoplemieńców odbywać się ma w języku ojczystem i szkoły mogą być 1 i 2 klasowe. W jednoklasowych wykładana jest religja, język ojczysty, rosyjski i artymetyka. W szkołach dwuklasowych wykładana ma być nadto historja Rosji, geografja, historja naturalna, kreślenie i zasady geometrji. Wykład w języku ojczystym uczni odbywa się zresztą tylko pierwszych 2 latach nauki. W latach następnych wykład powinien być prowadzony w języku rosyjskim, a język ojczysty powinien być uważany tylko za pomocniczy. Wyjątek stanowi tylko religja, wykładana do końca w jęyyku ojczystem.

— W szkole Murawlewa przy ul. Rymarskiej, gdzie większość uczniów stanowią żydzi, nauczyciel korespondencji handlowej żądał od 40 uczniów klasy VII napisania listu po francusku, 36 uczniów odrzekło, że jeszcze tego nie potrafi, 4 zaś którzy mają w domu nauczyciela francuskiego podjęło się tego. Oburzeni uczniowie niesolidarnością, obleli książki i kajety tych uczniów atramentem. Przybyły dyrektor oświadczył, że wydala 11 uczniów. Nazajutrz jednak zjawili się oni w szkole. Dyrektor posłał po policję, która ich zaaresztowała. Wszyscy uczniowie tej klasy zastrajkowali. To samo uczyniła klasa V. W sobotę przybył do szkoły kurator okręgu naukowego i podziękował uczniom VI klasy, którzy nie strajkowali“.

— W uniwersytecie lwowskim podczas imatrykulacji wszczęła się bójka między studentami. Gdy rektor odczytywał rolę ślubowania po polsku, jakiś akademik rusin założyłprotest poczem rusini zaczęli śpiewać: „Nie poraLachom służyty“. Wśród zgiełku nagle podniósł się las kijów i rozpoczęła się bójka. Razy padały gęsto, towarzyszyły im zaś jęki bitych studentów. Niebawem popłynęła krew z głów rannych. Bójka zacięta trwała kilka minut. Około dziesięciu akademików odniosło ciężkie rany. Młodzież polska zwartą masa przycisnęła Rusinów i wyparła ich z sali na korytarz. Rusini wyparci usiłowali ponownie wejść do sali, ale ich nie wpuszczono. Wśród zgiełku zbito 3 palniki gazowe i kilkanaście szyb.

— Dnia 16 Listopada staraniem grupy młodzieży postępowej we Fryburgu założonem zostało Stow. Młodz. Postępowej. Celem stow. jest zrzeszenie młodzieży polskiej postępowej, zaznajamienie z życiem polityczno-społecznem w kraju, stworzenie warunków niezbędnych dla rozwoju młodzieży, oraz jej wyrobienia obywatelskiego. Środkami prowadzącemi do tego będą odczyty, dyskusje, sprowadzanie w miarę możności książek, praca kulturalna wśród wychodźców (obieżysasów) etc.

Związek udziela wszelkich informacji o tutejszym uniwerstytecie. Zwracających się o informacje uprasza się dołączać marki na odpowiedzi. Adres Związku: Stow. Mł. Post. „Związek“—Friburg Suisse)—Perolles I-II Et.

WIADOMOŚCI BIBLJOGRAFICZNE.

A. Menger. Społeczne zadania nauki prawa tłom. K. Lutostański. Warszawa księg. Gebethnera r. 1908.
H. Poincaré. Nauka i Hypoteza, przekład M. H. Horwitza. Nakład J. Mortkowicza Warszawa 1908. Lwów księg. Altenberga.
F. Nitzsche. Tako rzecze Zaratustra. Przełoż. W. Berent Nakład J. Mortkowicza Lwów, Księg. Altenberga.
A. H. Taine. Podróż po Włoszech 2 tomy tłom. Sygietyński. Warszawa 1908. Nakład księg. Powszechnej.
A. Sliwiński. Mickiewicz jako polityk. Kraków 1908 Gebethner i S-ka.
M. Mutermilch. Kędy wiatr zaniesie. Warszawa, Nakład Orgelbrand i S-ka.
Skład główny w księg. E. Wende i S-ka.
J. Jędrzejewicz. Poezje. Kraków, 1907. S. Gebethner.
Stefan Filipkiewicz. Sztuka dla dzieci sześć barwnych obrazków. ogród, pole, las, staw, pole, sad. Nakład J. Mortkowicza Lwów H. Altenberga.
H. Centnerszwer. Katalog dzieł nakładowych komisowo oraz w większej ilości nabytych. Warszawa 1908.
J. Mortkiewicz. Dzieciom.

LIST DO REDAKCJI.

Mamy zaszczyt prosić Szanownego Pana o zamieszczenie tych paru słów w pańskiem piśmie.

My zesłańcy polityczni, gubernji Wołogodzkiej miasta Kadnikowa, zasyłamy Nowo-Roczne życzenia Towarzyszom, Rodzeństwu i Szanownej Redakcji.

Pozostajemy z szacunkiem:

Gustaw Kebke, Jan Berko, Stanisław Kamiński, Józef Jaworski, Jan Jaworski, Kaźmierz Bałdys, Marjan Świerkowski, Michał Gurewicz, Stanisław Wiśniewski, Dominik Hoffman, Katarzyna Panasiuk, Walerjan Zelewski.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Fr. W. Rękopis wasz otrzymaliśmy i było to zaznaczone na tem miejscu w N-rze 7.

P. Ant. Smutk. Rękopis otrzymaliśmy. Niech Pan pisze dalej — mając głównie na względzie to, na co zwraca uwagę nasz kwestjonarjusz w sprawie wychowania. Ortografja jest rzeczą podrzędną, zresztę pisze P. prawie bez błędów. Na odpowiedzi nie jest jeszcze za późno.

Na żądanie każdemu prześlemy kwestjonarjusz.

Reklamy.

Redaktor i Wydawca *Antoni Miller.* Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.